Danuta Irena Bieńkowska (1927-1974)

Florian Śmieja



Danuta Irena Bieńkowska

Powtarzamy zazwyczaj, że pamięć ludzka jest krótka, ułomna, a zdarza się, że wcale nie zainteresowana, by zachować zapis niektórych wydarzeń i ich aktorów. Dawniej prasa poświęcała mu swoje kolumny pieczołowicie odnotowując z kronikarskiego obowiązku zgony i dokonania zmarłych. Dziś ambitnej prasy jest co raz mniej, gazety proponują sensację i rozrywkę, nietrwałe

felietony i efemerydalną sieczkę. Utrwalanie ważniejszych zaszłości, przegląd wybitniejszych postaci, które przewinęły się przez scenę, nie obowiązują. Jeżeli jeszcze dodać brak dobrej woli, zapomnienie grozi wielu dawniej respektowanym zwyczajom.

Była wśród nas w Toronto poetka i nauczyciel akademicki Danuta Irena Bieńkowska (1927-74). Choć umarła młodo tragiczną śmiercią, zapisała się znacząco jako literatka i pedagog.

Urodziła się w Toruniu 7 grudnia 1927 roku w rodzinie zawodowego podoficera, lecz znalazłszy się w czasie wojny na terenach zajętych przez wojska sowieckie, została wraz z rodziną wywieziona do Uzbekistanu. a potem przez obozy uchodźców polskich przez Iran i Indie dostała się do Anglii. Krótkie dzieciństwo w Polsce miało się dramatycznie przemienić w tułaczkę na nieludzkiej ziemi, a potem, w orientalne niespodzianki Bliskiego Wschodu. Szczególnie zafascynowały ją Indie, których urok miał przetrwać do końca.

W Anglii podjęła studia literatury i języka rosyjskiego i angielskiego. Wyszła też za mąż, jak się miało okazać, nieszczęśliwie. Po przeniesieniu się do Kanady kontynuowała studia, a doktorat obroniła w Londynie, obierając za temat wczesną twórczość pisarską Stefana Żeromskiego.

W Toronto na uniwersytecie objęła lektorat języka polskiego, a później awansowała na profesora nadzwyczajnego. To ona opracowała i wprowadziła kursy literatury polskiej obejmujące teatr, prozę i poezję. Zajmowała się również folklorem słowiańskim. Dzięki jej wkładowi społeczność polska w Kanadzie doczekała się wprowadzenia języka polskiego do ontaryjskich szkół średnich.

Współpracowała z prasą emigracyjną. Drukowała w londyńskich "Wiadomościach", "Kontynentach", paryskiej "Kulturze" i torontońskim "Związkowcu" Dwa tomiki wierszy napisanych po polsku (pisała również po angielsku) pozwalają na wgląd w jej życie samotnicze, pełne rezygnacji i ataków choroby, a przecież pragnęła je rozegrać jak bajkę. Tak pisała w momentach optymizmu. Kiedy indziej odzywała się nuta niepewności:

> Między nocą a dniem,
>
> Między trwogą a nadzieją.
>
> Snuję, plotę swoje życie.
>
> I wyszywam biało-czarną nitką
>
> Linie kręte,splątane,

> Nigdy swego niepewne.

A potem była nawet prośba o tabletkę na śmierć. “Wiersze mi smutnieją pod piórem”, wyznała:

> I pochylają głowy
>
> Niedokończonych słów
>
> Jakby im zaciążył ten ból.
>
> Zaczęła jej doskwierać samotność, bała się nocy
>
> Jestem sama
>
> Bardzo sama
>
> Bez uniesień.
>
> Boję sie umierać na raty,
>
> Duchów w nocy,
>
> Snu.

Ale jeszcze się broniła, ogłaszała uczucia na sprzedaż, jak jabłka w koszu:

> Mam w sobie cały zapas
>
> Niezużytych uczuć.
>
> I uśmiecham się do kwiatow
>
> I do ptaków.
>
> Potem siadam przy oknie
>
> I czekam.
>
> Może nawet nie czekam
>
> Tylko trwam.
>
> Trwa we mnie czekanie
>
> Na jedno dobre słowo
>
> Które można zatrzymać

> Bez lęku.

Czekanie nie miało końca, bolała pustka. Zrodził sie lęk:

> Boję się samego siebie,
>
> Tej ręki, co mnie pcha
>
> W wielką niewiadomą
>
> W noc.
>
> Odsłonię wszystkie okna
>
> Otworzę wszystkie drzwi,
>
> Może uda mi się uciec.
>
> Już się ogień zapalił.
>
> Los zagląda przerz szyby,
>
> I zimnymi palcami puka.
>
> Boję się.

Raz po raz pojawiały się nuty rozpaczy. Czuła, że stała się zwiędłym, nikomu niepotrzebnym liściem.

> A potem się oderwę
>
> I wolno będę spadać
>
> Bez żalu i bez lęku
>
> W niebyt.

To prorocze spadanie miało się ziścić 9 lipca 1974 roku, kiedy zginęła w katastrofie kolejki linowej w norweskim Bergen.

Na szczęście, literacka puścizna Bieńkowskiej została opracowana z pietyzmem przez lojalnego kolegę profesora Bohdana Budurowycza i wydana w tomie "Między brzegami" przez Kanadyjsko-Polski Instytut Badawczy w 1978 roku. Profesor Louis Irribarne napisał solidny wstęp w języku angielskim. Edycja obejmuje poezję, wybór prozy oraz troskliwie zebraną bibliografię pism Bieńkowskiej. Ta książka, piękny hołd dla nieprzeciętnej postaci na arenie polskiego życia kulturalnego w Kanadzie, potwierdza gorzkie słowa epitafium „Pozostały po mnie wiersze…", ale także, wbrew pesymizmowi, pamięć prawdziwych przyjaciół i wiernych czytelników.



Toronto, fot. Jacek Gwizdka.

Rysio. Wspomnienie o Ryszardzie Kapuścińskim.



Imieniny Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, Warszawa, II poł. lat 80., od lewej: prof. Jerzy Rutkiewicz, Ryszard Kapusciński, prof.

Marek Drozdowski, fot. arch. A. Z.-B.

W dziesiątą rocznicę śmierci.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Melchior Wańkowicz opowiedział mi, że poznał Ryszarda Kapuścińskiego w mieszkaniu na Puławskiej 10, że przyprowadziła go i przedstawiła Krystyna Goldbergowa, opiekunka reporterów i znawczyni gatunku reportażu.

Opowiedział mi przy tym zabawną anegdotę, którą zupełnie inaczej przedstawiła Goldbergowa w dzień pogrzebu Kapuścińskiego, gdy czytano jego wiersze w „Gazecie Wyborczej". Nie chcę tej anegdoty teraz prostować. Rysiowi kilka lat temu powtórzyłam to, co opowiedział mi Wańkowicz, a teraz zatelefonowałam do Pani Krystyny, że znam inną wersję, opowiedzianą mi przez pisarza. Zostawiłyśmy ten temat „na boku".

W archiwum Wańkowicza zachował się numer "Nowych Książek" (Nr 3, 477, 15 luty 1970), w dużej mierze poświęcony Kapuścińskiemu, z jego fotografią na okładce. W tymże numerze Wańkowicz tak napisał o dwóch książkach Kapuścińskiego (str.177):

Książka Ryszarda Kapuścińskiego pt. „Gdyby cała Afryka…” to wytrawny rezultat wieloletniego pobytu w Afryce. (…) Walor książki polega na tym, że autor zna Afrykę w głąb. Stąd lekkość i celność analogii, stąd szeroki wachlarz wiadomości zarówno o rozrzutności władców połączonej z prymitywizmem, jak i o zabobonach ich poddanych. Kapuściński nigdzie nie da się za daleko zapędzić w anegdoty, choć umie się nimi posiłkować. Ani nigdzie nie przybiera tonu łaskawej pobłażliwości białego człowieka.

Książka „Kirgiz schodzi z konia”…… Ileż Kapuściński nałapał zapachów ciągnących z Gruzji, Armenii, Azerbejdżanu, Turkmenii, Tadżykistanu, Buchary! Potwierdza swoją książką, że dobry reportaż potrzebuje również artystycznych witamin.


KAPUŚCIŃSKI
GDYBY CAŁA AFRYKA...

Pani Oleńce
na Melchiora
o wesołych i
smutnych
wędrówkach
z całym szacunkiem
Kapuściński
6.12.74.

Książki odnoszą z kosza

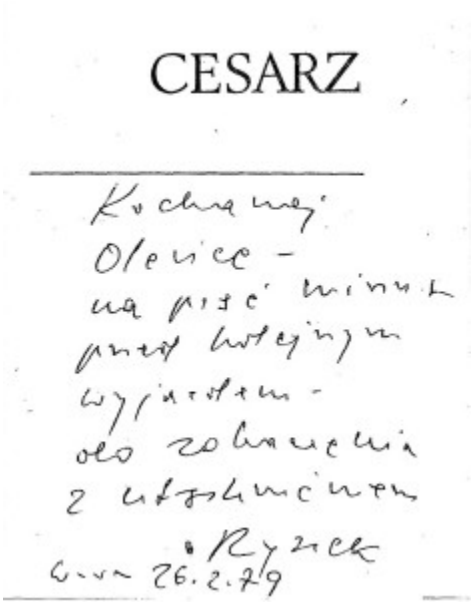
Oleńce —
bardzo szczęśliwy,
że spotkałem
się znowu
Ryszard
(prosto z
Etiopii)
Lwów 19.I.75

Ryszard Kapuściński po śmierci Melchiora Wańkowicza napisał w warszawskiej “Kulturze” (22 września 1974):

> Kiedyś Wańkowicz napisał o sobie pół żartem, pół serio, że jest „pierwszym pisarzem polskim pracującym na zamówienie społeczne”. Był mistrzem reportażu, a reportaż z samej swojej istoty jest formą odpowiadania na zamówienie

> społeczne. Najlepszym przykładem jest jego przedwojenna jeszcze rzecz, o polskim wysiłku gospodarczym. „Sztafeta” to pierwszy w naszej literaturze wielki reportaż – produkcyjniak, który tak upowszechnił się w Polsce po wojnie i stanowi do dziś ważny nurt literatury faktu. U początków tego nurtu stoi wańkowiczowska „Sztafeta”. Wańkowicz zachęca przyszłych reporterów: nie bójcie się cyfr, to wszystko jest ważne, to ma swoją wymowę, ma znaczenie i dla tych, którzy tworzą kraj i dla tych, którzy o tym czytają. I żeby zachęcić najlepiej, bo własnym przykładem, gromadzi w „Sztafecie” tysiące informacji – ile ziemi wykopano pod fundamenty, ile wagonów cementu przewieziono, ile wyprodukujemy stali, do czego ta stal będzie użyta. Tony, hektary, metry, ceny – wszystko dokładnie wyliczone. Ale w tej powodzi cyfr, wyliczeń, statystyk, jest zawsze miejsce na żywą scenkę, na głos ludzki, na las, na człowieka i na tego zająca w Stalowej Woli, który „sadzi wyrwą między rosnącymi blokami”.

Ryszarda Kapuścińskiego poznałam u Zenony Macużanki, ówczesnej redaktor naczelnej „Nowych Książek”, niebawem po śmierci Wańkowicza, jesienią 1974 roku. Był znany jako „doskonały reporter”, ale nie był jeszcze autorem „Cesarza”, pierwszej książki, która zyskała szczególną uwagę i uznanie.


CESARZ

Kochanej
Olence –
na pisc minut
przed kolejnym
wyjazdem –
dla zobaczenia
z uszanowaniem
Ryszard
Gdańsk 26.2.79

Zwróciłam uwagę, jak serdecznie, delikatnie się odnosił do innych ludzi i do mnie, wtedy bardzo młodej, świeżo po studiach osoby. W tym okresie byłam swoistą, o ile tak mogę napisać, sensacją. Kilka tygodni wcześniej zmarł wielki pisarz, i jak się dowiedziano, w testamencie zapisał młodziutkiej asystentce swoje archiwum. Wcześniej zadedykował mi drugi tom „Karafki La Fontaine'a" (*.....bez której oddanego współpracownictwa, byłaby to jeszcze gorsza książka*, jak zabawnie napisał).

Niektórzy byli mnie ciekawi, zapraszali na spotkania, przy okazji wypytywano o Wańkowicza: jaki był "na co dzień". Nie chciano słuchać o pomniku, chciano słuchać o człowieku.

Odpowiadając na to zainteresowanie, zachęcona przez przyjaciół (Michała i Krystynę Radgowskich), także wydawcę (Andrzeja Kurza z Wyd. Literackiego) zaczęłam pisać książkę. Chciałam

utrwalić chwile, które szybko zacierają się w pamięci. Nie zastanawiałam się, czy burzę jakiś mit, czy też tworzę nowy, nie chodziło mi o syntezę jednego życia, lecz raczej o ukazanie wielu dni powszednich z ostatnich lat wielkiego pisarza. Książka stała się zapisem wydarzeń, anegdot z życia w bliskości pisarza. Kiedy zastanawiałam się jak książkę nazwać, zapamiętałam radę właśnie Ryszarda Kapuścińskiego. – Musisz umieścić w tytule nazwisko Wańkowicza. Tytuł powinien być krótki, zatem dodaj jeszcze jedno słowo, na przykład: obok, blisko. Lepiej brzmi: blisko. I tak Kapuścińskiemu zawdzięczam tytuł swojej pierwszej książki. ”Blisko Wańkowicza” wydało krakowskie Wydawnictwo Literackie w trzech wydaniach i ogromnym nakładzie. Do dzisiaj wielu czytelników pamięta moją pierwszą książkę.

Kapuściński mówił mi, że będąc polonistką, nawet z doktoratem, trudno jest nadążyć za literaturą polską i światową. Dobrze więc, gdy się ma temat wybrany, na przykład pisarza, na którego twórczości się dobrze zna.

Po latach, kiedy w 2005 roku mówiono o jego kandydaturze do Nobla, Kapuściński w portrecie/wywiadzie Bartosza Marca dla „Rzeczpospolitej” stwierdził, że spośród polskich reporterów za swoich mistrzów uważa Melchiora Wańkowicza i Ksawerego Pruszyńskiego. Powiedział także:

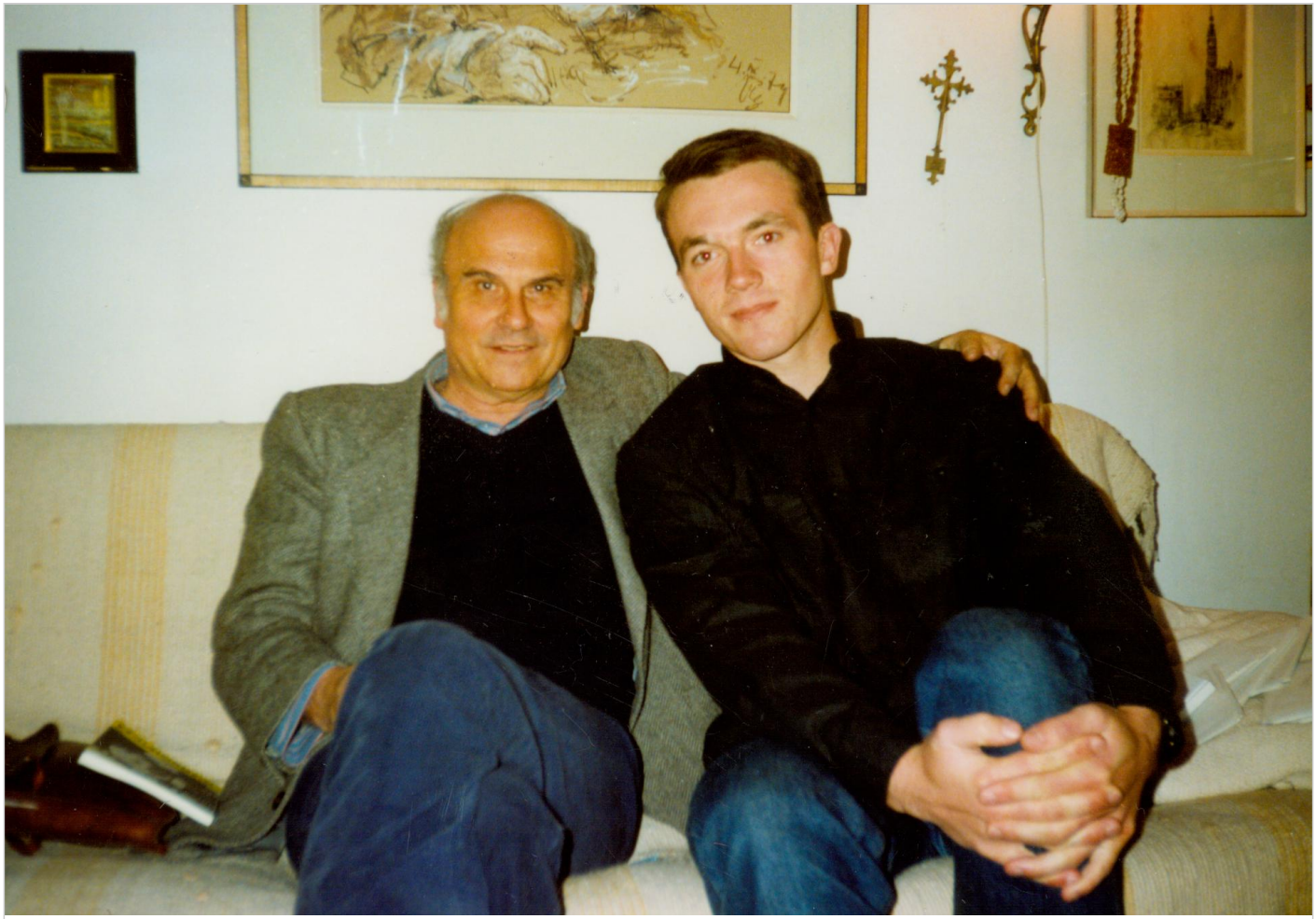
> Aleksandra Ziółkowska-Bohem, sekretarka Wańkowicza, zapamiętała jego rady: powinno się mieć swoją pasję, znaleźć dziedzinę, w której jest się ekspertem i o której chce się wiedzieć coraz więcej. (Przyp. Bartosz Marzec, ZARYZYKUJ WSZYSTKO, Plus Minus, RZECZPOSPOLITA, Nr 236, 10 sierpnia 2005, str. 7).

Na orzeczenie Nagrody Nobla czekałam, zdając sobie sprawę, jak uhonorowałoby to także literaturę faktu. Zmienia się świat, i zmienia się Polska, pamiętam, jak Kapuściński powiedział mi w początkowych latach 70., że odmówiono mu przynależności do ówczesnego Związku Literatów. Niedługo później każdy związek twórczy w Polsce i na świecie będzie dumny, że wielki reporter zechce być jego członkiem.

Przyjaźń z Ryszardem Kapuścińskim rozwinęła się i stała się jedną z cenniejszych i ładniejszych, jaką mi dobry Los ofiarował. Przetrwała ponad 30 lat, aż do mojego przyjazdu do Polski na stypendium Fulbrighta, kiedy mogłam osobiście uczestniczyć w jego pogrzebie.

Rysio, przez te wiele lat, do mojego wyjazdu do Stanów Zjednoczonych, przychodził w końcu lutego na imieniny. W czasie dość licznego zgromadzenia mój mały wtedy synek, szedł do swojego pokoju i siedział sam. Tam właśnie przychodził do

niego Rysio, jeden jedyny, który dostrzegł swoistą izolację i nieśmiałość dziecka. W pokoju Tomka, na ścianie wisiała duża mapa świata. Rysio mówił mu, że marzenia o podróżach można spełnić, że można pojechać wszędzie, na przykład do Afryki.



Ryszard Kapusciński wraz z synem Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm, Tomaszem Tomczykiem, Warszawa, 7.11.1990 rok, fot. arch. A.Z.-B.

Tomek jest teraz dziennikarzem, podróżnikiem, właścicielem własnego pisma na Karaibach. W Afryce był kilka razy, pracę

magisterską pisał o rozbudowującej się kolei w Erytrei, w „Polityce” wydrukował duży reportaż „Sudańska fabryka głodu”.

Rysio pokazywał małemu Tomkowi swój…”bokserski nos”, mówiąc, że mu usunięto chrząstkę, gdyż w młodości uprawiał boks. (Dorastający Tomek także między innymi sportami zajął się boksem).

Jesienią 1975 roku pożyczyłam Rysiowi niedużą walizeczkową maszynę do pisania. Była to metalowa szwajcarska maszyna marki „Hermes”. Miał jakiś kłopot ze swoją, a to była słynna maszyna Wańkowicza, o której pisarz pisał, że przeszedł Dniestr, niosąc ją wysoko w rękach. Powiedziałam, aby mu przyniosła szczęście. Rysio zwrócił mi ją po powrocie z Angoli. Mam tę maszynę u siebie w warszawskim mieszkaniu.

Żona Ryszarda, Alicja Kapuścińska, z zawodu lekarz pediatra, była zaprzyjaźniona z lekarką mojego Tomka, dr Reginą Wańkowicz-Ponurską (kuzynką Wańkowicza). Spotykałyśmy się na wystawie fotografii Kapuścińskiego, a także u mnie na warszawskim Mokotowie przy ulicy Kmicica. Alicja przychodziła na moje spotkania autorskie. Miałam także okazję rozmawiać z Zojką, córką Rysia i Alicji, która mieszkała lata w Kanadzie. Podobnie, jak siostra Ryszarda, mieszkanka Vancouver.

Rysio miał w sobie delikatność, swoistą chłopięcość, która nie

mijała z latami. Miał też skromność, i jednocześnie szczególną emocjonalność, którą widać w pięknych, niemal osobistych, dedykacjach. Ale takie właśnie pisał. Ceniło się nie tylko jego książki, ale to, jakim był człowiekiem. Miał rzadką cechę całkowitego skupienia się na osobie, z którą rozmawiał. Pytał każdego o jego sprawy, wiedział, jakie są ważne dla jego znajomych i przyjaciół. A miał ich całe rzesze. W autobiograficznej książce „Ulica Żółwiego Strumienia", której pisanie było dla mnie swoistą terapią „polsko- amerykańską", pisałam o Rysiu, że podziwiam u niego „dyplomatyczne umiejętności gromadzenia wokół siebie wielu przyjaciół".



Projekt: Szymon Kobyliński

Miał zwyczaj dawania znajomym do lektury, z prośbą o komentarz, swoją przyszłą książkę. Dawał mi do czytania wiersze, czy np. Lapidaria. Pierwszy tom Lapidariów trochę mnie zaskoczył. W formie dziennika prowadził zapiski myśli, skojarzeń, uogólnień, trochę notatek. Pisał na przykład, że warunkiem ujarzmienia społeczności jest zepchnięcie jej na niski poziom egzystencji. Zmniejszenie wygody, zwiększenie zagrożenia jest następstwem polityki tych, którzy chcą umocnić swoje panowanie. Wiedzą oni, że człowiek wyczerpany walką z tysiącem przeciwieństw jest łatwym obiektem manipulacji. Walka dla człowieka to przetrwanie, a jest to zajęcie absorbujące, czasochłonne, wyczerpujące. Pisał, że zarówno ubóstwo potrzeb, jak i ubóstwo materialne są wygodne dla władzy. Bieda osłabia i przygniata człowieka, a ktoś, kogo potrzeby są ubogie, nawet nie wie, że istnieją rzeczy, których mógłby się domagać, walczyć o nie. Nasze ocalenie? – W dążeniu do rzeczy niemożliwych do osiągnięcia. Według mnie Rysio właśnie sobie umiał stawiać cele, jakby niemożliwe do osiągnięcia.

Kiedy po ponad dwuletnim pobycie w Kanadzie na Boże Narodzenie 1983 roku wróciłam do Polski, rzeczywistość dalece odbiegała od obecnej. Pewnego dnia zatelefonował Rysio.

– Wiesz, nie mam wody w mieszkaniu… – powiedziałam.

– To normalne, nie przejmuj się. Mój kolega nie ma ogrzewania,

cały dzień w wannie siedzi.

– Może grzać ręce nad gazem, słyszałam, że tak ludzie robią…

– Ale lepiej, jak wyłączą ciepłą wodę niż zimną, bo we wrzątku nie będziesz się myła…

– Ale ja w ogóle nie mam wody, wyłączyli, bo jakaś awaria. Przynosimy z Tomkiem wodę w wiaderkach z cysterny, którą podstawiono. Przed blokiem kałuża, bo woda wylewa się, wszystko zamarzło…

– Ludzie będą nogi łamać, gips będzie potrzebny, gipsu nie ma, bo nie ma dewiz…

W 1984 roku odwiedził Warszawę senator kanadyjski (polskiego pochodzenia, napisałam o nim książkę) Stanley Haidasz. Zaprosił mnie i Tomka na kolację, Rysia zaprosiłam także.

Z Haidaszem, Rysiem i z Tomkiem pojechaliśmy na kolację do „Baszty” pod Warszawę, Rysio zmienił w ostatniej chwili stolik (z ostrożności). Mówił, że Polska nie oczekuje takiej pomocy, jak kraje afrykańskie, nie potrzebuje np. kaszy, czy butów, bo tutaj ludzie nie umierają z głodu. Trzeba sobie zdać sprawę, jak ocalić naukę, dostęp do literatury, osiągnięć Zachodu. Przerwano prenumeraty pism specjalistycznych, bo nie było dewiz. Co

stanie się z myślą techniczną, z nauką, medycyną, jeżeli nie będziemy wiedzieli, co dzieje się u innych, odcięci od literatury naukowej, podkreślał Kapuściński.

Senator Haidasz powiedział, że więcej dowiedział się od Kapuścińskiego niż od wszystkich ludzi, z którymi spotkał się wcześniej.

I pisma naukowe otrzymały dotacje. To się zawdzięcza Ryszardowi.

W 1984 roku literaci, artyści nie pracujący na etacie mogli otrzymać specjalne zaświadczenia z urzędów dzielnicowych, które pozwalały im na opiekę lekarską. Na warszawskim Mokotowie pracowała Wanda Rogowiczowa, wdowa po tłumaczu, urocza siwa pani z piękną kartą wojenną. Poszliśmy do niej na Rakowiecką. Ryszard mieszkał na Woli, ale przyrzekła zatelefonować na Wolę, by mu załatwili „druczek". W trakcie rozmowy spytała. – Dlaczego pan nie mieszka na Mokotowie? My tu dbamy o ludzi… Potem zapytała, gdzie się urodził. Kiedy w odpowiedzi usłyszała, że w Pińsku (ona koło Nowogródka), że jest Poleszuk, to wstała i ucałowała go. Głaskała go po rękawie i zaczęli przekrzykiwać się we wspomnieniach. Była to cudowna scena. Wydała mu zaświadczenie. – Nie szkodzi, że nie z Mokotowa, biorę pana pod swoją opiekę – orzekła.

Kiedy wyszliśmy, powiedziałam wzruszona do Rysia:

– Popatrz, przepisy są w całym kraju takie same, ale zobacz, jaka może być różnica. Jak człowiek może być traktowany życzliwie, pomocnie.

– Oczywiście, tutaj jest jeszcze ciepło, którego nie uświadczysz na Zachodzie – powiedział.

Nie wiedziałam wtedy, że zamieszkam na stałe w Stanach Zjednoczonych.

Jadąc do Anglii, spytał mnie o moich przyjaciół, których odwiedzałam. Podzieliłam się londyńskimi adresami, telefonami. Urządzono mu prywatne piękne spotkanie, zachwyceni nim byli absolutnie wszyscy. Spotkał go duży sukces, pokazywano w BBC, gazety cytowały na pierwszych stronach. Powiedział mi po powrocie:

– Polska jest enklawą, jedynie jeszcze tu ludzie czytają książki. Na Zachodzie co godzinę wychodzi 180 książek, ale największą popularnością cieszą się filmy, kasety, wideo (…). Trzeba się zastanowić – jaki temat ma rangę światową i dopiero wtedy pisać. Co z tego, że powstanie jeszcze jedna powieść?…

W 1987 roku z Anglii przyjechał zespół Teatru Królewskiego ze

sztuką według książki Kapuścińskiego „Cesarz”, którą pokazano w teatrze „Studio”. Oboje z Tomkiem byliśmy zaproszeni przez Ryszarda. Rolę tytułową grał karzeł przykuty do wózka inwalidzkiego.

Pamiętam, jak Rysio autentycznie cieszył się swoimi pięknymi sukcesami w świecie. Przynosił w teczce książki – tłumaczenia. Wszyscy się z nim cieszyliśmy.

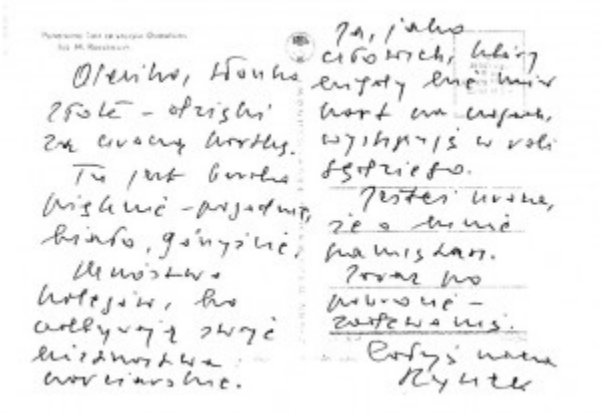
Przytoczę jego karteczki z końca lat 80:

> St. Anthony’s College, Oxford OX2 6JF England)
> Oxford, 10. 5.86
> Kochana Oleńko! Oxford tylko na pocztówce jest taki słoneczny, w rzeczywistości leje tu bez przerwy, jest zimno i pisząc do Ciebie siedzę w kurtce. Zmarznięty i z grypą, a jest chyba 10 maja. Będę tutaj do końca czerwca. Akurat wydali w Londynie „Szach-in-Szacha” (równocześnie wyszedł we Francji i RFN – z tego powodu mam ciągłe zawracania głowy o wywiady. Tutaj wykładam, czytam, mam wieczory autorskie – dużo wszystkiego. Co u Ciebie? Serdeczności dla Tomka!
> Całuje Cię i ściskam najmocniej.
> Rysiek



Pocztówka z Gubałówki bez daty (koperta się nie zachowała)

> Oleńko, słonko złote – dzięki za uroczą kartkę. Tu jest bardzo pięknie, pogodnie, biało górzyście. Mnóstwo kolegów, bo odbywają swoje mistrzostwa narciarskie. Ja, jako człowiek, który nigdy nie miał nart na nogach, występuję w roli sędziego.
> Jesteś urocza, że o mnie pamiętasz. Zaraz po powrocie zadzwonię.
> Całuję mocno
> Rysiek



Oslo, 25 sierpnia 1986
Droga Oleńko i Tomku!
Pozdrawiam Was serdecznie z Oslo. Pięknie tu, trochę jak w Krynicy, albo w Zakopanem Ludzie bardzo sympatyczni.
Wracam początek września – zadzwonię.
Pozdrawiam serdecznie
Rysiek



Gdy odwiedziłam Polskę w 1990 roku, zaprosił mnie i mojego męża, Normana, do restauracji „Harenda” na Krakowskim

Przedmieściu. Ładnym angielskim opowiadał o pobycie w Filadelfii na stypendium. Mój powściągliwy mąż odtąd stał się jego wielkim zwolennikiem. Kupowaliśmy amerykańskie wydania książek Rysia i obdarowywaliśmy naszych przyjaciół.

Gdy każdego roku przyjeżdżałam do Polski, telefonowałam, czasami z wahaniami, myśląc, że jest zajęty i że nie chcę mu zabierać czasu. – Musisz obiecać, że zawsze będziesz dzwonić, mówił. Znajdywał czas i szliśmy na kawę. Pokazał mi swój nowy dom na Kolonii Staszica, jak kiedyś pokazał mieszkanie w blokach na Jelonkach, przy ulicy Pustola. W obu miejscach zwrócił mi uwagę na widok z okna – na drzewa.

Książki Ryszarda wydawane po 1990 roku mam w bibliotece w domu w Delaware. Od kiedy mieszkam w Stanach Zjednoczonych czytałam o nim na łamach nowojorskiego „Nowego Dziennika", dodatku literackiego „Przegląd Polski", który starannie prowadzi Julita Karkowska. Informowała o każdej nowej nagrodzie i wyróżnieniu. Doskonałe omówienia kolejnych książek drukował Marek Kusiba, zachowałam kilka z nich w swoim archiwum. Pamiętam też wywiad Czesława Karkowskiego przeprowadzony w czasie kolejnego pobytu Kapuścińskiego w Ameryce.

Zachowałam wiele wycinków na temat Ryszarda Kapuścińskiego drukowanych w prasie amerykańskiej. Widziałam na popularnej stacji PBC rozmowę z nim znanego dziennikarza, Charlie Rose.

W 2006 roku Rysio napisał, że ma kłopoty ze zdrowiem. Miał je od dawna, po powrotach z podróży, miał też zabiegi na kręgosłup.

Przyjechałam do Polski jako stypendystka Fulbrighta na dziewięć miesięcy. W przeddzień mojego spotkania w Salonie Pisarzy w Bibliotece Narodowej, Alicja Kapuścińska, nagrała wiadomość, że nie będzie obecna, bo Rysio ma tego dnia operację.

Zadzwoniłam kilka dni później, rozmawiałyśmy ponad godzinę. Umówiłyśmy się, że zatelefonuję za tydzień, kiedy miały być wyniki analiz.

Następnego dnia Ryszard Kapuściński zmarł.

Ryszard Kapuściński, fot. DailyMaverick.co.

W „Lapidarium” napisał, że w miarę jak upływa czas, życie staje się coraz bardziej podróżą w głąb naszej własnej przeszłości, w głąb siebie. I że ci nowi przybywający na świat coraz mniej nas obchodzą, bowiem nie przybywają dla nas.

Cieszę się, że miałam szczęście, dar od losu, znać Ryszarda Kapuścińskiego. Ogromnie sobie cenię, że Ryszard przybył na

świat „w tym samym czasie”.

Mam w saloniku krzyż koptyjski, prezent od niego. Mam Różę wiatrów, koraliki. I mam, jak my wszyscy, jego książki.

***

Mam wiele książek z dedykacjami Kapuścińskiego. Wszystkie dedykacje są serdeczne i pełne uczuć. Jakby miał ich w sobie tak wiele, że chętnie nimi obdarzał innych.

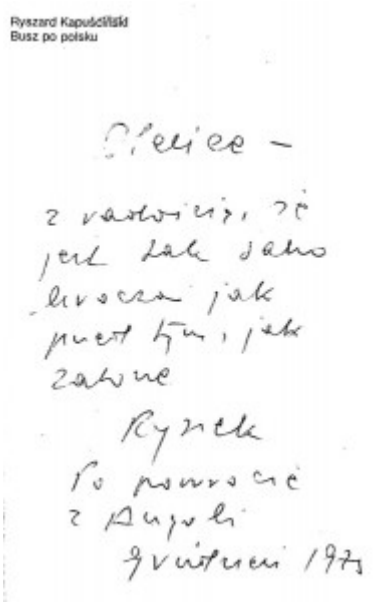
Pierwodruk wspomnienia Aleksandry Ziółkowskiej-Bohem: „List oceaniczny” – Dodatek Kulturalny „Gazety” pod redakcją Joanny Sokołowskiej-Gwizdka, luty 2007, nr 50.

http://www.gazetagazeta.com/artman/publish/article_17083.shtml

Zobacz też:

http://aleksandraziolkowskaboehm.-blogspot.com/2017/01/ryszard-kapuscinski-wspomnienie.html

GALERIA

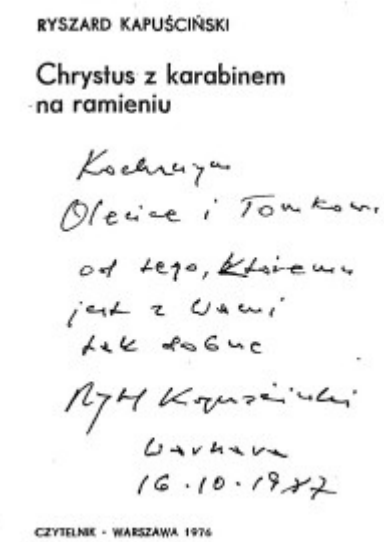

Ryszard Kapuściński
Busz po polsku

Oleńce –

z radością, że
jest tak jako
chciała jak
myśl tym, jak
zabrnę

Ryszek

Po powrocie
z Angoli
grudzień 1975


RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

Chrystus z karabinem
na ramieniu

Kochanym
Olence i Tomkowi
od tego, który
jest z Wami
tak dawno

Ryszard Kapuściński

Warszawa
16.10.1987

CZYTELNIK · WARSZAWA 1976

RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

DLACZEGO ZGINĄŁ
KARL VON SPRETI

Olenice –
z kilku
napisanej
XX książek.

Ryś'e.

W-wa 12.4.75

Kapuściński
Jeszcze dzień życia

Kochanej
Olenice –
życzę sobie,
żeby Cyra dla
mnie taka jak
zawsze
Ryszek
W-wa 20.5.78



Ryszard Kapuściński

Kochanym
Olcice i Tomkowi
z radością że Ich
widzę, z podziwem,
że spotkaliśmy się
właśnie
z życzeniami
Rysiek
Warszawa 7.11.1990

Ryszard Kapuściński

Notes

Kochanej
Olcice
na pamiątkę

Rysiek
26.12.
87

Czytelnik · Warszawa 1986

Ryszard
Kapuściński

Szachin-szach

Czytelnik
Warszawa
1985

Kochani
Helce
z ciepłą
wdzięcznością
za kwiaty
Ryszard
Warszawa 27.3.84

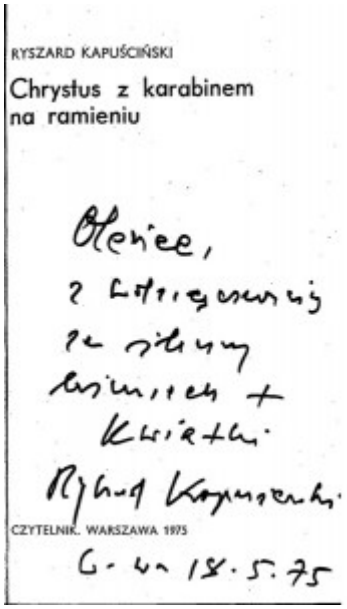
Ryszard Kapuściński

THE EMPEROR

Translated from the Polish by
William R. Brand and
Katarzyna Mroczkowska-Brand

To jest
Książka
dla Olusi
wraz
ze Słońcem
z Londynu
z emigracji
Ryszard
Warszawa
22.8.84

PICADOR
published by Pan Books


RYSZARD KAPUŚCIŃSKI
Chrystus z karabinem na ramieniu
CZYTELNIK. WARSZAWA 1975

Tłumaczka z pasją. Nina Krygier-

Michalak.



Nina Krygier-Michalak

Joanna Sokołowska-Gwizdka: Powieść „Kto widział wiatr” będąca debiutem pisarskim kanadyjskiego powieściopisarza, dramaturga i satyryka Williama O. Mitchella wydana po raz

pierwszy w 1947 roku od razu stała się bestsellerem. Znalazła się w lekturze szkolnej, na jej podstawie nakręcono film. Dopiero po 60 latach zainteresowało się wydaniem kanadyjskiej powieści w pani tłumaczeniu polskie wydawnictwo MUZA. Jak długo starała się pani zainteresować wydawnictwa w Polsce tą książką?

Nina Krygier-Michalak: Około czterech lat. Jest to żmudny proces zwłaszcza kiedy nie jest się na miejscu, tzn. w Polsce i nie ma się na tamtym rynku ugruntowanej pozycji jako tłumacz. Bywało, oczywiście, że całymi miesiącami nic się nie działo, byłam zajęta inną pracą, sprawami rodzinnymi. Kiedy wybrałam się na Krajowe Targi Książki w Warszawie biorąc ze sobą piękne, albumowe wydanie, MUZA była jednym z wydawnictw, które obejrzały książkę i przywiezione przeze mnie dodatkowe materiały. No i widocznie coś musiało się im w tym wszystkim spodobać.

Jednym z powodów, dlaczego książka czekała na polskiego czytelnika od 60 lat jest zapewne fakt, że sam autor chyba nie za bardzo zabiegał o tłumaczenie jej na inne języki. Za jego życia ukazała się jedynie wersja francuska. Dopiero w ostatnich latach książka została przetłumaczona także na koreański i włoski. Z kolei jeśli nawet Polak będący tłumaczem przeczytał ją w oryginale, to zapewne rezygnował w przedbiegach, bojąc się piętrzących trudności związanych ze znalezieniem wydawcy i perspektywą pracy bardziej prestiżowej niż zarobkowej.

JSG: Jak podeszli do wydania powieści w Polsce spadkobiercy autora?

NKM: Spadkobierców spuścizny literackiej pisarza, którymi o ile mi wiadomo są jego dzieci: dwóch synów i córka, nie poznałam jeszcze osobiście, chociaż mam nadzieję, że to wkrótce nastąpi, zwłaszcza po zapięciu na ostatni guzik wszystkich warunków umowy i podpisaniu ostatecznej wersji. Przez cztery lata byłam w kontakcie internetowym z jednym z synów. Orm Mitchell wykłada literaturę kanadyjską na uniwersytecie w Trenton w prowincji Ontario. Kontakty z nim były sporadyczne i raczej oficjalne, aczkolwiek ostatnio otrzymałam miłe i ciepłe słowa podzięki za upór w dążeniu do wydania polskiego tłumaczenia dzieła jego ojca.

JSG: Dlaczego pani zapragnęła przetłumaczyć tę właśnie powieść? Co według Pani stanowi o jej wartości?

NKM: Nie jestem krytykiem literackim, więc nie wiem według jakich kryteriów dana książka zasłużyła sobie na miano arcydzieła. „Kto widział wiatr" – nawet jeśli nie uzna się jej za arcydzieło – należy z pewnością do tzw. bardzo dobrej literatury. Osadzona w realiach kanadyjskiej prerii lat 30. XX w. opowiada dzieje chłopca zgłębiającego tajniki życia. Tłem dla przygód chłopca są losy mieszkańców małego miasteczka w prowincji Saskatchewan i roztaczająca się wokół bezbrzeżna kanadyjska

preria. Co ujmuje w niej najbardziej to prosty, a jednocześnie poetycki i pełen humoru język, którym autor posługuje się zarówno opisując sprawy przyziemne, zwykłe, jak i pokazując sprawy wielkie, takie jak stosunek człowieka do przyrody, czy też problem wolności indywidualnej a odpowiedzialności przed społeczeństwem. To chyba pierwsza rzecz, która bardzo mi się w tej książce podoba – umiejętność połączenia kontrastujących ze sobą elementów: powagi z humorem, prozy z poezją, czyli jej uniwersalizm. Dzięki temu książka może podobać się zarówno osiemnastolatkowi, jak i osiemdziesięciolatkowi. Druga rzecz to od pierwszych kartek książki fascynujący proces całkowitego utożsamienia się z głównym bohaterem, który jest przecież dzieckiem i trzeba się czasem uszczypnąć, by zdać sobie sprawę z relacji bohater – czytelnik. Stanowi to, według mnie, o absolutnym autentyzmie powieści.

JSG: Czy trudno jest przenieść na język polski klimat międzywojennej kanadyjskiej prerii w prowincji Saskatchewan i losów poznającego życie młodego chłopca? Czy natrafiła pani na jakieś szczególne trudności podczas tłumaczenia?

NKM: Trudności tłumaczeniowe wynikają między innymi z uproszczonego, czy też lekko gwarowego języka, jakim posługują się niektórzy bohaterowie. Najczęściej jednak to po prostu jest to kwestia innej struktury zdania, czy też zbitek językowych, funkcjonujących w angielskim np. jako przymiotniki, nie mające

bezpośrednich odpowiedników w języku polskim, które trzeba zgrabnie rozpisać. „Black-eyed Susan” to w polskim po prostu „czarnooka Zuzanna”, ale spróbujmy przetłumaczyć „three-gaited horse”, koń idący raz stępa, raz kłusem, raz galopem. Jak zrobić z tego przymiotnikowego „konia o trzech chodach”?

JSG: Jak to jest, gdy spędza się wiele czasu z jedną powieścią. Czy „zaprzyjaźniła się” pani z jej bohaterami? Czy oni stali się częścią pani świata?

NKM: Kilka lat po przeczytaniu książki pamięta się ciągle przezabawne scenki. Z bohaterem nie tyle się zaprzyjaźniłam, co po prostu, jak już wspomniałam wcześniej, stał się on częścią mnie. Zresztą każdy z nas, mimo upływu lat, z łatwością może przenieść się w świat dzieciństwa, świat pierwszych fascynacji zapachami, barwami, smakami, świat zadziwienia i zdumienia. I ta książka właśnie ten świat przybliża, czy też jak kto woli, na nowo odkrywa.

JSG: Skończyła pani Studium Języków Obcych na Uniwersytecie Warszawskim, ze specjalnością językoznawstwo stosowane. W Kanadzie pracuje Pani jako tłumacz od 1984 roku. Czy tłumaczenie literatury to pani hobby, pasja?

NKM: I jedno i drugie. Hobby, dlatego, że w kanadyjskich warunkach (choć może i w polskich również), nie ma możliwości

poświęcenia się całkowicie tłumaczeniu literatury, zwłaszcza wartościowej. Jest to rzecz wielce nie intratna, a życie ma swoje prawa. Pasja, bo od zawsze fascynowało mnie słowo. Jeszcze kiedy mając 12-13 lat nie znałam żadnego obcego języka i namiętnie rozwiązywałam krzyżówki i fascynowała mnie zabawa na zasadzie: jak to można inaczej nazwać, czy wyszukiwanie obcych słów – angielskie piwo „Ale", australijski misio „koala" itp.

JSG: Tłumaczy pani literaturę nie tylko z języka angielskiego na język polski, ale i odwrotnie, z języka polskiego na język angielski. Takim tłumaczeniem był np. zbiór wywiadów Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm pt. „Korzenie są polskie". Na jaki język woli pani tłumaczyć? Proszę opowiedzieć coś więcej o „Korzeniach…", czy np. trudno jest oddać różne polskie zawiłości historyczne w języku angielskim?

NKM: Ogólnie powiedziawszy, łatwiej tłumaczyć z obcego języka na język ojczysty, w którym się wyrosło, ukończyło szkołę. Tłumaczenie odwrotne, z języka ojczystego na obcy, wymaga jeszcze większego nakładu pracy, a ostateczna wersja musi być koniecznie sprawdzona przez tzw. native speaker. Najlepiej, tak jak ja to robię szczególnie przy tekstach literackich, przez osobę nie mającą żadnych naleciałości językowych, nie znającą obcych języków i poruszającą się tylko i wyłącznie w obrębie języka angielskiego. Poza tym proces jest podobny: pierwsza wersja,

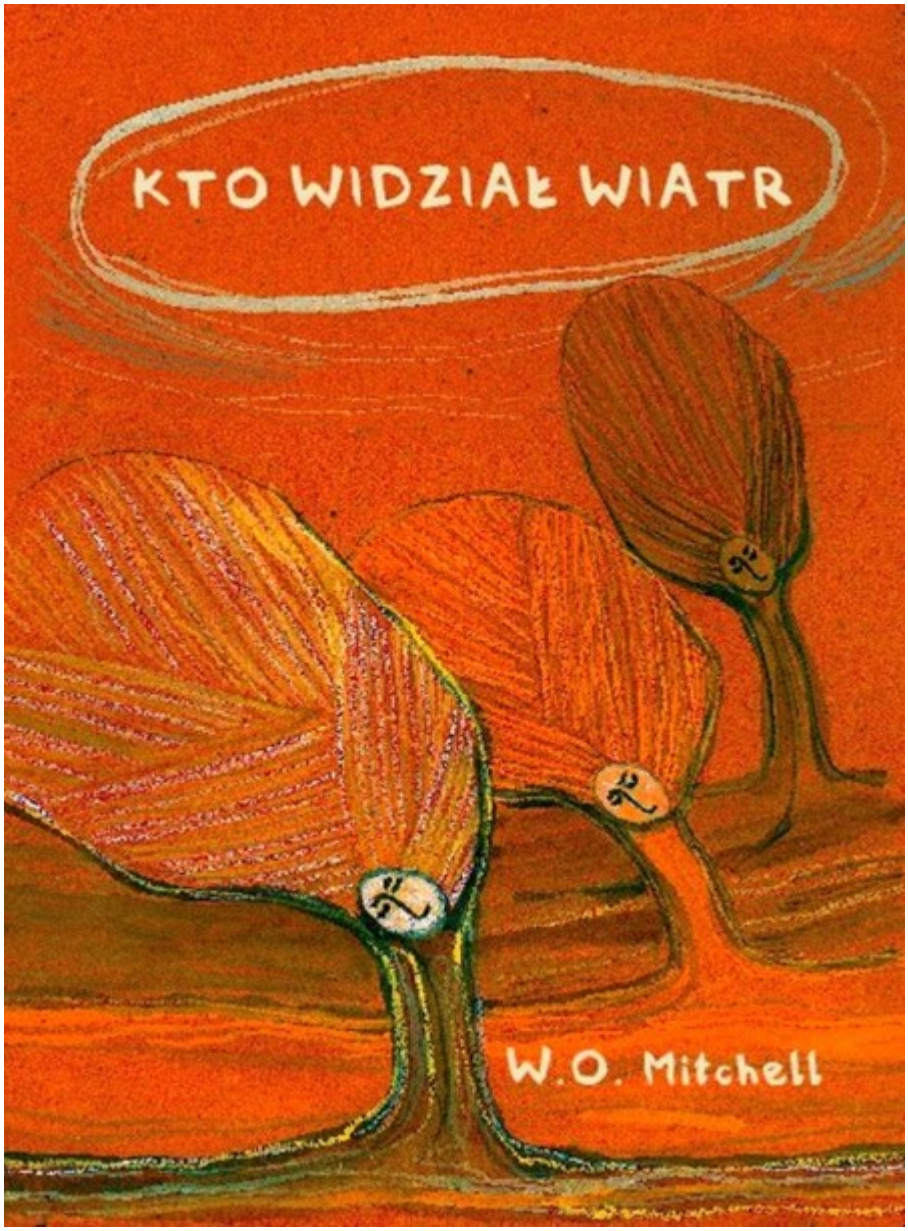
niezgrabna, siermiężna, dosłowna, by nie uronić żadnego niuansu. Drugi etap ja nazywam przy tłumaczeniach z angielskiego na polski „przekładaniem z polskiego na nasze", czyli obróbka językowa, szlifowanie, polerowanie, wygładzanie zdań, prawie tak jak przy obróbce drogocennych kamieni. „Korzenie" to była dla mnie przede wszystkim wielka lekcja historii: ta galeria wybitnych postaci z kanadyjskiego i amerykańskiego podwórka, wielu z pokolenia „niezłomnych" z ogromnym bagażem doświadczeń przedwojennych, wojennych i powojennych. Oprócz bardziej znanych postaci jak Czesław Miłosz czy Zbigniew Brzeziński, na kartach książki znalazł się m.in. Janusz Żurakowski, wybitny pilot doświadczalny, którego nazwisko trafiło do Encyklopedii Kanadyjskiej. Trudności językowych nie brakowało. Przez długi czas głowiliśmy się z panem Koglerem – ówczesnym dyrektorem Polsko-Kanadyjskiego Instytutu Badawczego, który zlecił mi tłumaczenie – jak najlepiej przełożyć na angielski słowo: „niezłomni". Ja zaproponowałam „indomitable", on nie był do końca przekonany, ale ostatecznie ta wersja poszła do druku. „Indomitable" znaczy dosłownie „nieposkromiony, niezwyciężony, niepokonany", ale w angielskim często używa się go z rzeczownikiem „spirit", „indomitable spirit", i to właśnie jest to, człowiek niezłomnego ducha.

JSG: Kiedy i z jakiego powodu znalazła się pani w Kanadzie? Czy czuje się tu pani u siebie?

NKM: Z kraju nie wygnała mnie ani bieda, ani prześladowania polityczne. Z mężem, Kanadyjczykiem polskiego pochodzenia, poznaliśmy się we Francji mając po 21 lat. Jego polski był wtedy słaby, mój angielski – żaden. Kilka następnych lat to długie, cotygodniowe listy (obydwoje nieźle znaliśmy już wtedy francuski), rzadkie spotkania, tęsknota i…. paszportowa gehenna. Kiedy w wieku 25 lat postanowiliśmy się pobrać, było mi obojętne gdzie jadę: najważniejsze było być razem. Z perspektywy czasu widzę jakie miałam szczęście. Przyjechałam do kraju zamożnego, do rodziny męża, która przyjęła mnie z otwartymi ramionami, znającej język polski i pielęgnującej polskie tradycje. Po prawie 30 latach trudno nie czuć się u siebie, w jakimkolwiek chyba kraju. Wszystko zaczyna nas wiązać: rodzina, dzieci, grono przyjaciół, praca, dom, sposób spędzania wolnego czasu, coraz więcej znajomych, wydeptanych ścieżek. Z Polską mam bardzo żywe kontakty, często odwiedzam tam przyjaciół i rodzinę, przez Internet ciągle słucham różnych polskich rozgłośni radiowych.

JSG: Czy jest jeszcze jakaś książka, która chciałaby pani przetłumaczyć?

NKM: Syn autora wspomniał, że jest dalszy ciąg dziejów bohatera, luźno połączony z pierwszym tomem (trochę na zasadzie „Ani z zielonego wzgórza”). Zobaczymy.



W.O. Mitchell, Kto widział wiatr, tłum. Nina Krygier-Michalak, wyd. Muza 2008 r.

Nina Krygier-Michalak jest tłumaczką z zawodu i z zamiłowania. W 1975 roku ukończyła Studium Języków Obcych na Uniwersytecie Warszawskim, ze specjalizacją – językoznawstwo stosowane. Posiada również tytuł tłumacza dyplomowanego (certified translator) przyznany przez

Kanadyjskie Stowarzyszenie Tłumaczy (Association of Translators and Interpreters of Ontario). Posługuje się językami obcymi: angielskim, francuskim, hiszpańskim. W Kanadzie pracuje jako tłumacz od 1984 roku. Jej pionierska praca przybliżająca różne sprawy z życia politycznego, społecznego, ekonomicznego i kulturalnego, pokazywała różnice między Polską i Kanadą. Aby przybliżyć Polakom Kanadę, Nina Michalak opracowała dla polskiej sekcji Radio Canada International, 30 krótkich historii, opartych na francuskich i angielskich materiałach źródłowych, dotyczących różnych aspektów życia w Kanadzie. Na początku lat 90. na zlecenie Kongresu Polonii Kanadyjskiej oraz Polsko-Kanadyjskiego Ośrodka Naukowo-Badawczego, pracowała nad serią esejów historycznych na temat wkładu Polaków w społeczeństwo kanadyjskie. Jednym z najważniejszych projektów było przetłumaczenie wybranych rozdziałów książki z okazji 50-lecia Kongresu Polonii Kanadyjskiej, wydanej w 1996 roku (Half a Century of Canadian Polish Congress). Ostatnią większą przetłumaczoną pozycją, jest zbiór wywiadów pióra Aleksandry Ziółkowskiej-Bohem pod tytułem „Korzenie są polskie”. Przedstawieni w niej zostali wybitni Polacy, mieszkający w Kanadzie i Stanach, tacy jak np. pilot Janusz Żurakowski czy doradca do spraw zagranicznych prezydenta Jimmy’ego Cartera, Zbigniew Brzeziński. (Pierwsze wydanie w 1999 r., drugie w kwietniu 2004).

Kto widział wiatr



Kanadyjska preria w prowincji Saskatchewan.

William O. Mitchell

tłumaczenie Nina Krygier-Michalak

W zagródce pana Hoffmana były najpierw tylko dwa króliki. Teraz było ich dziesięć. Chłopców zachwyciło to coś za nic. I chociaż przyszła im do głowy myśl o możliwości jakiegoś rozrostu, to jednak nie spodziewali się, że nastąpi to tak szybko. Mamą została grubaśna królica rasy belgijskiej: Brian i Fat byli naocznymi świadkami przyjścia króliczków na świat.

– O rany, Fat – wykrzyknął Brian. – Jakie one śmieszne, w ogóle nie mają włosów.

– Urosną im – oświadczył Fat. – Jak będą duże, to im urosną.

– A potem one będą miały małe – prorokował Brian. – I te urosną.

– I urodzą małe – dodał Fat.

– I te urosną i będą miały małe.

– Będziemy mieć całą masę królików – orzekł Fat.

– I co z nimi zrobimy?

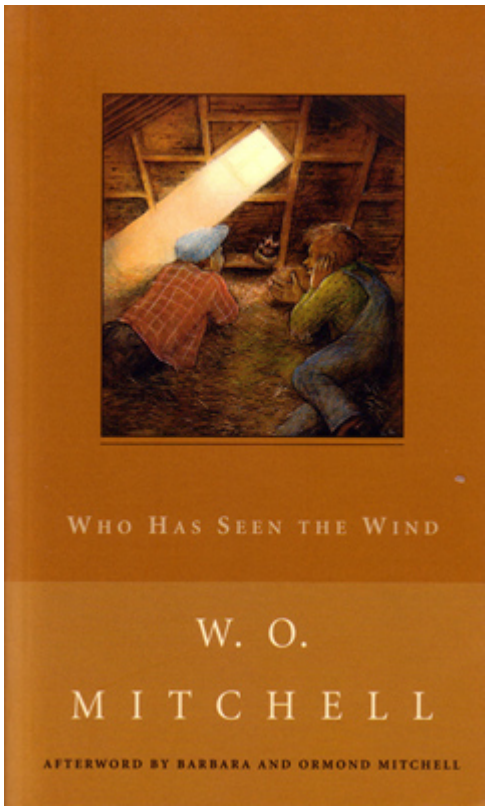
– Sprzedamy je – odpowiedział Fat. – Tato zapłacił za każdego 50 centów. Sprzedamy je.

Tak więc, przez dwa tygodnie chłopcy z niecierpliwością wyczekiwali pojawienia się nowych królików. Ike zwrócił ich uwagę na ciekawą zależność: grubaśny królik – małe króliczki. Zjawisko to nie kojarzyło im się wcześniej z przyjściem na świat młodych. Pod koniec miesiąca, kiedy nic się nie pojawiło, Brian postanowił pójść do ojca.

– Tato!

– Tak, urwisku.

– Skąd biorą się króliki?



Ojciec Briana zmierzył syna wzrokiem. Siedział w swoim gabinetowym fotelu. Światło lampy stojącej przy jego łokciu rzucało blask na jego ciemne, rude włosy. W pokoju panowała cisza zmącona jedynie powolnym, miarowym pykaniem jego fajki. Już od jakichś dwóch lat czekał na to pytanie. Musi z nim o tym otwarcie i uczciwie porozmawiać.

– Wiesz skąd biorą się roślinki?

– Skąd?

– Z ziarenek. Wsadza się je do ziemi i wyrastają z nich roślinki. – Spuścił rękę, by podrapać w ucho Jappy'go, leżącego przy fotelu.

– To, to wiem.

– Wiesz, co? – spytał Bobbie, który wszedł do pokoju.

– Coś, co tłumaczę Brianowi. Ze zwierzętami jest tak samo.

– Naprawdę?

– Co, jest? – spytał Bobbie.

– Małe – odparł Brian. – Mówi mi, skąd biorą się małe.

– Pamiętasz, jak pytałeś mnie o gołębie, kiedyś dawno, będzie z cztery lata temu.

– Nie – odparł Brian.

– Powiedziałem ci wtedy, że gołębie rosną w jajku – w środku jajka – a jajko jest w środku mamy gołębicy, aż się nie wykluje. Cały czas jak mama gołębica je wysiaduje, gołąbek rośnie w

środku. I wykluwa się, jak jest już dostatecznie duży.

– Ale króliki nie – powiedział Bobbie. – Brian widział jak wychodzą z mamy – powiedział, że widział jak wychodzą…

– Króliki, to co innego. Nie wykluwają się z jajka. Rosną po prostu w matce, a kiedy przychodzi czas, rodzą się.

– Rodzą się – powtórzył Bobbie.

Gerald O'Connal spojrzał w zadumaną twarzyczkę Briana. Jappy podniósł się i przeciągnął. Wyciągnął głowę i naprężył ukośnie tylnie nóżki, po czym drobnymi kroczkami wyszedł z pokoju. Wygląda na to, że wyjaśnienia były wystarczające, powiedział do siebie ojciec Briana. Podniósł znowu swój *Regina Leader*.

– A jak ziarenko dostaje się do środka? – spytał Brian.

– To – och – z tego rośnie króliczek u mamy w brzuchu, urwisku.

– I w niej jest pełno ziarenek?

– Tak – ona – coś takiego.

– A jak nie ma ziarenek, to nic nie urośnie?

Gerald O'Connal odłożył gazetę. Patrzył jak Bobbie podpiera sobie podbródek tłuściutkimi rączkami zgiętymi w przegubach, a podwinięte palce opierają się o pulchne policzki. Niebieskie oczy wpatrywały się w twarz ojca.

– Zgadza się. Tata królik musi posadzić te ziarenka.

– A skąd on je ma?

– Słucham? – One są w nim.

– To dlaczego nie rosną w nim i nie wyjdą z niego? – Brian nie dawał za wygraną.

– Bo nie. Bo muszą rosnąć w mamie królicy.

Brian zamilkł. Popatrzył na ojca z namysłem.

– To to jest tak jak mówi Ike – to on tak to robi jak …..

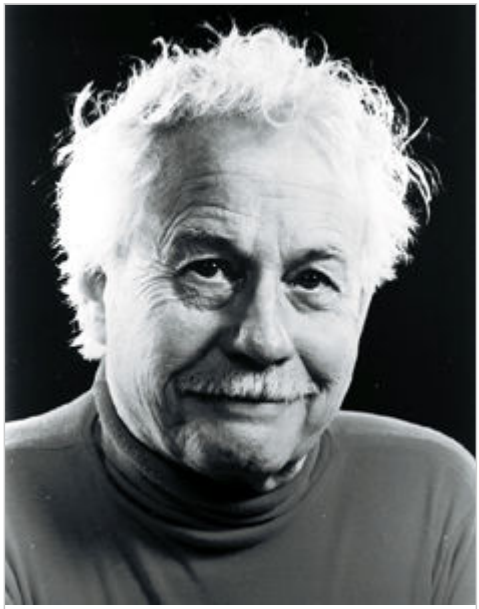
– Tak, właśnie to robi. Kiedy sadzi ziarenka…..

Natarczywe spojrzenie Briana wprawiało go w zakłopotanie.

– Można to tak nazwać. – zakończył pan O'Connal.

– Tato, tato? – Bobbie uwolnił z rąk swój podbródek. – A czy on może posadzić w niej rzepę?

Brian z niesmakiem popatrzył na swojego młodszego brata.



W.O. Mitchell, fot. Ed Ellis.

William O. Mitchell – kanadyjski powieściopisarz, dramaturg i satyryk urodził się w 1914 roku w Weyburn, Saskatchewan. Dorastał na Florydzie, ale w 1931 roku wrócił do Kanady i podjął studia na Uniwersytecie Mianitoba w Winnipegu. Po podróżach przez Amerykę Północną i Europę, zdobył tytuł Bachelor of Art. na Uniwersytecie w Albercie. Po studiach osiedlił się w małym miasteczku i pracował jako nauczyciel w szkole. Możliwe, że właśnie wtedy narodził się pomysł napisania książki, której bohaterem jest chłopiec, mieszkający w małym miasteczku na kanadyjskiej prerii. W 1944 roku William O. Mitchell zrezygnował z bycia nauczycielem i poświęcił się wyłącznie pisaniu. W 1947 roku opublikował powieść „Kto widział wiatr”,

która mimo tego, ze była jego debiutem pisarskim, szybko stała się bestsellerem.

Wydawnictwo Macmillian określiło go, jako „błyszczący nowy talent, który wchodzi do świata pisarskiego”. Podobnie wysoko walory pisarskie Michella ocenili krytycy i recenzenci. W latach 1948 – 1951 William O. Mitchell mieszkał w Toronto i pracował jako redaktor dla Magazynu McLeans.

Opublikował wówczas kolejne książki, przygotował kilka programów radiowych, pisał poezje. Po pobycie w Toronto, wraz z żoną zamieszkał na 20 lat w High River, a następnie państwo Mitchell przenieśli się do Calgary, gdzie do dziś mieszka ich syn. Pisarz przez szereg lat kierował pisaniem kreatywnym w Banff Centre, pełnił funkcję pisarza-rezydenta na wielu uniwersytetach, był jednym z najbardziej popularnych „speaker-performers”. Dwa razy zdobył nagrodę Stephena Leacock’a za poczucie humoru, które było stałym elementem jego wielu tekstów, przygotowywanych zarówno dla pism, jak i radia czy telewizji. Wielokrotnie go nagradzano. Otrzymał m.in. Order Kanady, a w 1991 roku został honorowym członkiem Privy Council. Powieść „Kto widział wiatr” wydawana wiele razy zarówno w Kanadzie, jak i w Stanach, weszła na stałe do lektur szkół średnich, mimo, że nie jest powieścią tylko dla młodzieży. Ale nie wszystkie wersje były takie same. Fakt ten odkryła synowa pisarza, Barbara Mitchell. Udowodniła, że oryginalne

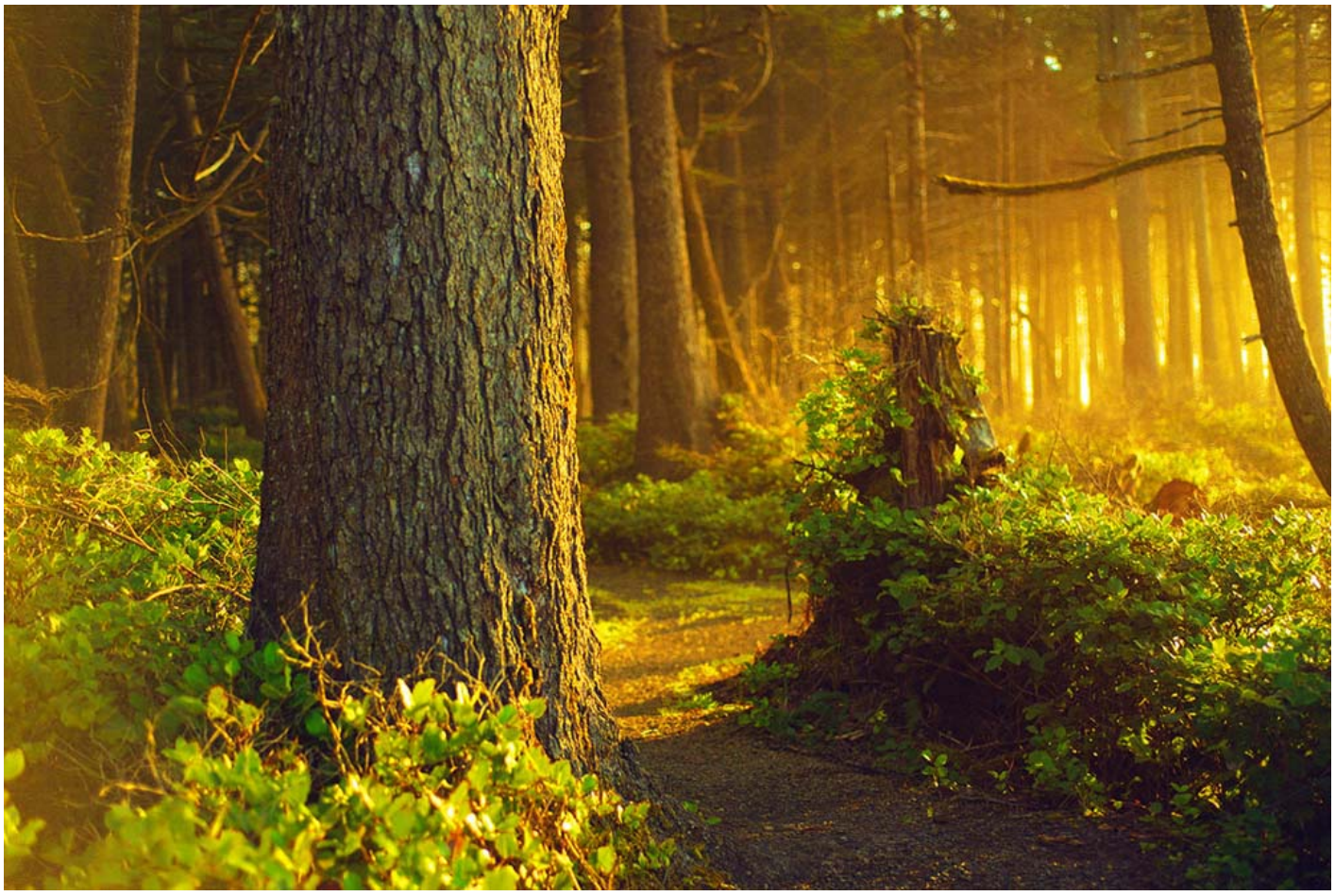
wydanie książki zostało zapomniane, a wszystkie wydania do 1991 roku, były oparte na skróconej, amerykańskiej wersji powieści. Dopiero wydanie z roku 1997, z okazji 50-lecia pierwszej publikacji Mitchella, wydanej przez to samo wydawnictwo Macmillian, nie odbiegało od oryginału. Barbara Mitchell opatrzyła więc wydanie jubileuszowe dodatkowym esejem, będącym intrygującą historią na temat zmagań Mitchella z amerykańskimi wydawcami. W 1974 roku powieść przetłumaczono na język francuski. Obecnie tłumaczona jest również na język włoski i koreański. Wersja filmowa ukazała się w roku 1977.

Do 1980 sprzedano pół miliona egzemplarzy tej popularnej w anglo- i francuskojęzycznym świecie, książki.

Nowela W.O. Mitchella nosi znamiona charakterystyczne dla literatury kanadyjskiej. Jest nimi stosunek człowieka do przyrody, porównanie praw natury z prawami rządzącymi wspólnotami ludzkimi, problemy takie jak – wolność indywidualna, a odpowiedzialność przed społeczeństwem, świat dziecięcej niewinności, a doświadczenia życiowe człowieka dorosłego itd. Osadzona w realiach kanadyjskich prerii, pełna humoru, sugestywnych opisów przyrody i barwnych postaci przedstawia wartości ogólnoludzkie, przemawiające do każdego, bez względu na miejsce zamieszkania i wiek.

Przepojona prostotą i autentyzmem opowiada dzieje chłopca zgłębiającego tajniki życia. Tłem dla przygód chłopca są losy mieszkańców małego miasteczka w prowincji Saskatchewan i roztaczająca się wokół bezbrzeżna kanadyjska preria.

W Jarze



Ryszard Sawicki

– Dopiero marzec – pomyślał Józef. Patrzył na ośnieżoną ziemię, na ciemne pnie drzew, które wydawały mu się drewnianymi kolumnami starego domu, podtrzymującymi dach nad gankiem, ale dom ten i ganek nie były takie jak w budynku, gdzie mieszkał, niewielkim, obrośniętym dzikim winem, te pnie starych drzew, grube, mocne, były jak kolumny w olbrzymiej świątyni, zbudowanej dla bogów z innego świata niż jego świat, z minionego świata jaki jawił mu się czasem, gdy wchodził do lasu. W leśnym jarze, głębokim i ciemnym nawet wówczas, gdy ziemia wysłana była nieskazitelną bielą śnieżnego kobierca i lśniła w półmroku, w podolskim jarze wyrzeźbionym przez wodę roztopów, a płynącą pod ziemią jeśli nie musiała, z powodu nadmiaru, płynąć po powierzchni. Patrzył na drzewa, które wyrosły długo przed jego pierwszą wizytą w tych okolicach, przed pierwszym zejściem do jaru, do źródła, które biło w jarze. Te prastare drzewa były jego przyjaciółmi, od których, jak mu się zdawało, mógł w trudnych chwilach spodziewać się pocieszenia.

Potrzebował pocieszenia, bo czuł, że *serce smuci się wspomnieniem, a co było dawniej już nigdy nie wróci,* jak wyraził wierszem wstępując do jaru. Układał takie rymy w samotności, a potem, wróciwszy do domu, starał się zapisywać to, co jeszcze pamiętał. Ale zazwyczaj zapominał swoje rymy zanim jeszcze wyszedł z lasu.

Wśród drzew rosnących w jarze rymy dawały się słyszeć jak szum lekki, tajemniczy, niosący się z oddali. Dobiegały nie tylko do uszu, lecz i do duszy człowieka. Szum wiatru w liściach lub szum strumienia mieszał się z tym szumem słów. Szum albo szept raczej, w którym słyszał czasem wabienie – idź do źródła skąd płyną tajemnice.

Czasem ogarniał go lęk przed tymi głosami. Tłumaczył sobie, że nie musi podążać do żadnego ukrytego źródła, że rozumie wszystkie głosy lasu, a także głosy, które dobywały się z dna duszy.

Znał źródło swego żalu. Pozwalał mu pulsować, ale nie chciał odgarniać liści, które spadły na wodę w tym źródle. Nie chciał zagłębiać się w przebrzmiałe rozmowy, pozwalał im jednak sączyć się z dna pamięci. Pozwalał, by dobiegał go cichy płacz, którego on, Józef, nie zdołał utulić. Pozwalał otwierać się zakamarkom pamięci, w których tętnił żal.

W ciemnym jarze nie słychać było głosu dzwonów, bo dzwonnice były daleko za lasami. Ptaki śpiewały też jakby ciszej. Józef wierzył jednak, że cisza jest mu przyjazna. Znał swój las dobrze, był przecież jego strażnikiem. W kościelnej łacinie, w dokumencie jaki otrzymał z klasztoru, dla którego pracował, nazwano go „prefectus silvarum”. Wszystkie drzewa, także i te w mrocznym jarze, a więc jakby bardziej poważne czy nawet

smutne, były mu powierzone. Las był dlań powiernikiem jak i on dla lasu.

W jarze wiersze nachodziły Józefa najczęściej. Były zwykle smętne, jakby zanurzone w mroku, który go zewsząd otaczał po śmierci żony. Nawet śmiech dzieci, ich zabawy, nie zawsze potrafiły rozweselić wdowca. A kiedy każde z dzieci odchodziło po kolei z domu, zakładało własne rodziny, smutek opanowywał go jeszcze podczas wesela. I dlatego lubił las, lubił stare drzewa, nie tylko te młode, które sadził w okolicy własnymi rękami, o które dbał. Nazywał je swoimi, bo były jego, jemu zawdzięczały życie. Szedł ogarnięty smutkiem do tych starych drzew, pamiętających ludzi, których wcale nie znał, a którzy zapuszczali się do jaru dużo wcześniej niż on go oswoił. Nim zaczął budować z okolicznych kamieni leśną kaplicę, modląc się o łaskę radości.

Wierzył, że radość przychodzi z wiosną. Tak do młodych jak i do starych drzew. Do roślin i do ludzi. Radość, której nie mógł nazywać radością lata. Sądził, że lato jest nie dla niego, że go pominęło. Dojrzałego życia nie potrafił utożsamiać z dojrzewaniem zbóż. Odkąd zabrakło mu towarzyszki życia, odkąd sam musiał troszczyć się o dorastające dzieci, niecierpliwie czekał na każdą wiosnę. Tylko wiosna budziła w nim nadzieję odmiany, radość życia. Ale głos lasu nie był wyrazisty.

Tego dnia, 19 marca 1907 roku, myślał o wiośnie. I mówił do

siebie – czemu lata nie zaznałem, choć doń tyle razy wzdychałem; takie losu mego przeznaczenie, nie mając przed kim zwierzyć me cierpienie, wiośnie raz tylko zwierzyłem się o tem, której ufałem tak przed tem jak potem.

Myślał o tym wszystkim co się zdarzyło od przedwczesnej śmierci żony. O powrotach pór roku, o wiecznym upływie czasu. O tym, że niedługo znowu trzeba będzie zająć się pszczołami. Myślał o tych swoich pracownicach, które wymagały opieki nim nazbierały miodu, by go mógł sprzedać i zapewnić sobie dodatkowy dochód, skromny ale ważny, bo jego pensja leśnika nie wystarczała na utrzymanie, na ubrania dla dzieci, na ich edukację.

Myślał coraz rzadziej o Jadwidze, zmarłej żonie, a coraz częściej o Helenie, córce przyjaciela, również leśnika.

Miał wyrzuty sumienia z powodu tych nowych myśli. Wyrzucał sobie każdą wizytę u Ludwików. Wyrzucał sobie pocałunek, na który pozwolił sobie po latach znajomości z Heleną. Ułożył wiersz o tym pocałunku, bo wiersz wydawał mu się mniej jego własną, a bardziej cudzą wypowiedzią, jakby opisem czyjegoś, nie jego własnego doświadczenia. Wspominał wiersze Słowackiego, zwłaszcza ten fragment „Balladyny”, w którym Goplana mówi do Grabca: *Pocałowanie to ślub dla czystych dziewic, na dziewiczym wianie za każdym pocałunkiem jeden*

listek spada. Ale odpowiadał sobie wierszem Szymonowicza, w którym także mowa o pocałunku: *Marna rzecz całowanie; ale w tej marności są też swoje przysmaki, są swoje słodkości*. W swoim własnym wierszu usprawiedliwiał się dlaczego pocałował w usta, a nie w policzek. Skarżył się przy okazji, że usta panny były zimne. I, że była *trzpiotką.* I, nim uciekła *jak dziki kotek,* powiedziała – wesoło, w buzię, z boku, w oczek dwoje, na to chętnie zgodzę się, pozwolę… ale w usta… to… nie higienicznie.

W wierszu przyznał się też, że zawsze całuje w usta, więc tego jednego całusa nie można traktować wyjątkowo… choć był wyjątkowy. Takimi rymami bawił się jakby miał lat kilkanaście, a nie, bagatela, ponad pięćdziesiąt. Cóż, usta panny nie były chyba aż tak zimne. Może jeszcze tego dnia 1907 roku nie wyobrażał sobie, że będą cieplejsze. Może był zajęty budowaniem kaplicy, znoszeniem kamieni, które znajdował w lesie. I modlił się o zmianę losu, jednocześnie wyrzucając sobie te modlitwy.

Wiersz „z jaru" zatytułowany był „Skarga". W jarze myślał o minionych latach. Nim przeszedł od skargi do całusa, przeżył jeszcze jeden rok, znowu spoglądał na pracujących w polu rolników i sam zbierał z uli miód. *Już kłos dojrzały powiązany leży, zagonów skiby czernieją od słońca, a lud spracowany rad by dnia końca doczekać i wrócić do domu, do swego ogniska, bo tam zawsze można pełnię sił odzyskać… ja jednak nie mam po co wracać do swej chaty, bo wiatr jesienny rozwiał przed laty żar,*

który ktoś wzniecał, ktoś umiał podtrzymać. Tak pisał w marcu 1907 roku, w głębokim jarze, na którego dnie leżał jeszcze śnieg.

Drugi wiersz o pocałunku został zanotowany 9 marca 1908 roku. Ale i wtedy nie wiedział jeszcze, że panna Helena mu naprawdę przeznaczona. Nie wiedział, że rodzina Ludwika jest bardziej przychylna jemu niż o wiele młodszemu od niego adoratorowi. Nie przypuszczał, że może być jeszcze raz w życiu w pełni szczęśliwym.

Zabiegał o rękę pięknej Heleny przez czternaście lat. Postanowił nie żenić się nim którekolwiek z dzieci z pierwszego małżeństwa nie ułoży sobie życia. Czekał. Chodził po lesie, zaglądał do leśniczówki w Kozłowie. Pisał wiersze. Doglądał pszczół, sadził drzewa. Miał nie tylko kogo, ale i co kochać.

Lasy klasztorne były ogromne. Wieś Gawareczyzna była położona daleko od innych wsi, a do najbliższego miasta, Białego Kamienia, było pięć kilometrów. Wieś zamieszkiwali biedni gospodarze, przeważnie Rusini, i jedna rodzina żydowska. Zajmowali się garncarstwem, uprawą roli, korzystali z darów lasu. Józef nie był bogaty, ale pomagał biedniejszym od siebie sąsiadom. Starał się sprzedawać miód i inne wyroby pszczelarskie, ale tym, którzy nie mogli zapłacić, dawał je za darmo. Tak samo jak nabiał i zioła. Nikt, kto tego potrzebował, nie odchodził z leśniczówki z pustymi rękami. Las był przecież

dla wszystkich, darzył zawsze szczodrze, więc nie można było skąpić tych darów.

Las też darzył zdrowiem. I siłą. Taką, jak siła starych drzew rosnących w jarze. I tych młodych, które sadził, a które rosły szybko, zieleniły się coraz bardziej obficie. Z każdą wiosną dziwiły swego opiekuna wspanialszym listowiem. A w jesieni, tej smutnej, bezlistnej jesieni, wspanialszymi, nagimi konarami.

I jemu, Józefowi, sił i zdrowia nie brakowało. Był, mimo upływu lat, jak mocne drzewo, którego nie ugnie byle wiatr, którego gałęzi nawet piorun łatwo nie odłamie. Żył życiem lasu, który wie jak przetrwać, byle człowiek mu nie zagrażał. Byle nie budował zbyt wielu dróg w tym lesie, ani zbyt wielu domów. Obce mu były kłopoty opiekunów miejskich parków, w których trzeba wycinać co roku jakieś drzewa, usychające przed czasem. Pilnować, by nie niszczono kwiatów i krzewów. Miał inne troski.

Ze swymi troskami zwracał się do Stwórcy, który mieszkał nie tylko w murowanych świątyniach. Do tego, któremu ufał, iż nie zaniedbuje go, jak on nie zaniedbywał lasu. Choć nie przestępował kamiennych progów miejskich świątyń tak często jak nakazywał kościelny obyczaj, to jednak często modlił się sam, bez pomocy kapłanów. I tylko uważał, by modlitwy wznosiły się wysoko, jak przystało, ponad wszelkie korony, także i te najwyższe korony drzew. Na wszelki wypadek wyznaczył sobie

pokutniczą pracę zbieracza kamieni. Budował własną świątynię, własnymi rękami. Tak, jak zawsze chciał zbudować swój dom. Ale nigdy nie stać go było na zakup materiału. Więc mieszkał w podarowanej mu na czas pracy leśniczówce, a wznosił dom Bogu, z tego co miał pod ręką, o co nie musiał wypraszać u zakonnic. Nie musiał też tłumaczyć nikomu po co buduje ten dom, a nie inny. Żył po swojemu.

I kiedy panna Helena odżałowała odejście młodego narzeczonego, zaczął drugie życie. Wychował jeszcze dwoje dzieci. Był znów szczęśliwy.

Józef, mój pradziad, zmarł 9 maja 1936 roku, a więc pod koniec wiosny. Podczas drugiej wojny światowej znikł jego grób w Białym Kamieniu, ale do dziś istnieje leśna kaplica w miejscu, które okoliczni mieszkańcy wyznania grecko-katolickiego nazywają Sawicka Góra. Urządzają tam pielgrzymki i wierzą, że źródło bijące w kaplicy ma moc uzdrawiającą.

Boski Niżyński



Kamil Maćkowiak w spektaklu „Niżyński”, fot. Joanna Jaros.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Klatka, z metalowych prętów, półcienie świateł, projekcje myśli, psychodeliczna muzyka i „Bóg tańca” – to barwny, dynamiczny spektakl z pogranicza snu i jawy o walce ze sobą słynnego tancerza Wacława Niżyńskiego. Wcielający się w tę postać Kamil

Maćkowiak, na dwie godziny, bez przerwy, przykuwa uwagę publiczności. Czas mija jak jedna chwila, a po zakończeniu dramatu czuje się niedosyt, chciałoby się, aby to misterium jeszcze trwało. Nic dziwnego, że zaledwie w ciągu dwóch tygodni sprzedano 1200 biletów, a wielu z widzów przychodzi na spektakl po raz kolejny.



Kamil Maćkowiak w spektaklu „Niżyński”, fot. Joanna Jaros.

Wacław Niżyński to jeden z najwybitniejszych artystów baletu XX w. Urodzony w 1889 r. w Kijowie był synem pary tancerzy, absolwentów Warszawskiej Szkoły Baletowej, występujących w

Operze Warszawskiej, a potem w wędrownej trupie tanecznej. Gdy miał sześć lat, ojciec opuścił rodzinę. Matka z dziećmi przeniosła się do Petersburga i tam Wacław zaczął się uczyć tańca. Jako 11-letni chłopiec wstąpił do Teatralnej Szkoły Imperatorskiej. Zadebiutował na scenie Teatru Maryjskiego w wieku 18 lat w „Don Giovannim" Mozarta. Wtedy też związał się z możnym protektorem, który opiekował się całą rodziną, z księciem Pawłem Lwowem. Zaczął też występować razem ze swoją siostrą Bronisławą Niżyńską, która była mu przez całe życie bardzo bliska. Gdy poznał słynnego Siergieja Diagilewa, wstąpił do jego zespołu Baletów Rosyjskich, nie rezygnując z Teatru Maryjskiego. Związał się też z Diagilewem na pięć lat. Wyjeżdżał z zespołem, m.in. do Paryża, gdzie odnosił wielkie sukcesy i stał się pupilem publiczności. W 1911 r. został zwolniony z Teatru Maryjskiego po tzw. aferze kostiumowej. Podczas spektaklu „Giselle" artysta wystąpił w samym trykocie, bez krótkich spodenek, co w Paryżu nie wzbudzało takiej sensacji. Od tej pory występował tylko u Diagilewa. W 1912 roku zadebiutował jako choreograf w „Popołudniu fauna" Debussego. Jego choreografia, jak i kolejny spektakl, w którym wystąpił – „Święto wiosny" Strawińskiego, wywołały oburzenie i to także u paryskiej publiczności. Uważano, że układy taneczne w „Święcie wiosny" były zbyt żywiołowe i pierwotne, a przy tym brutalne.

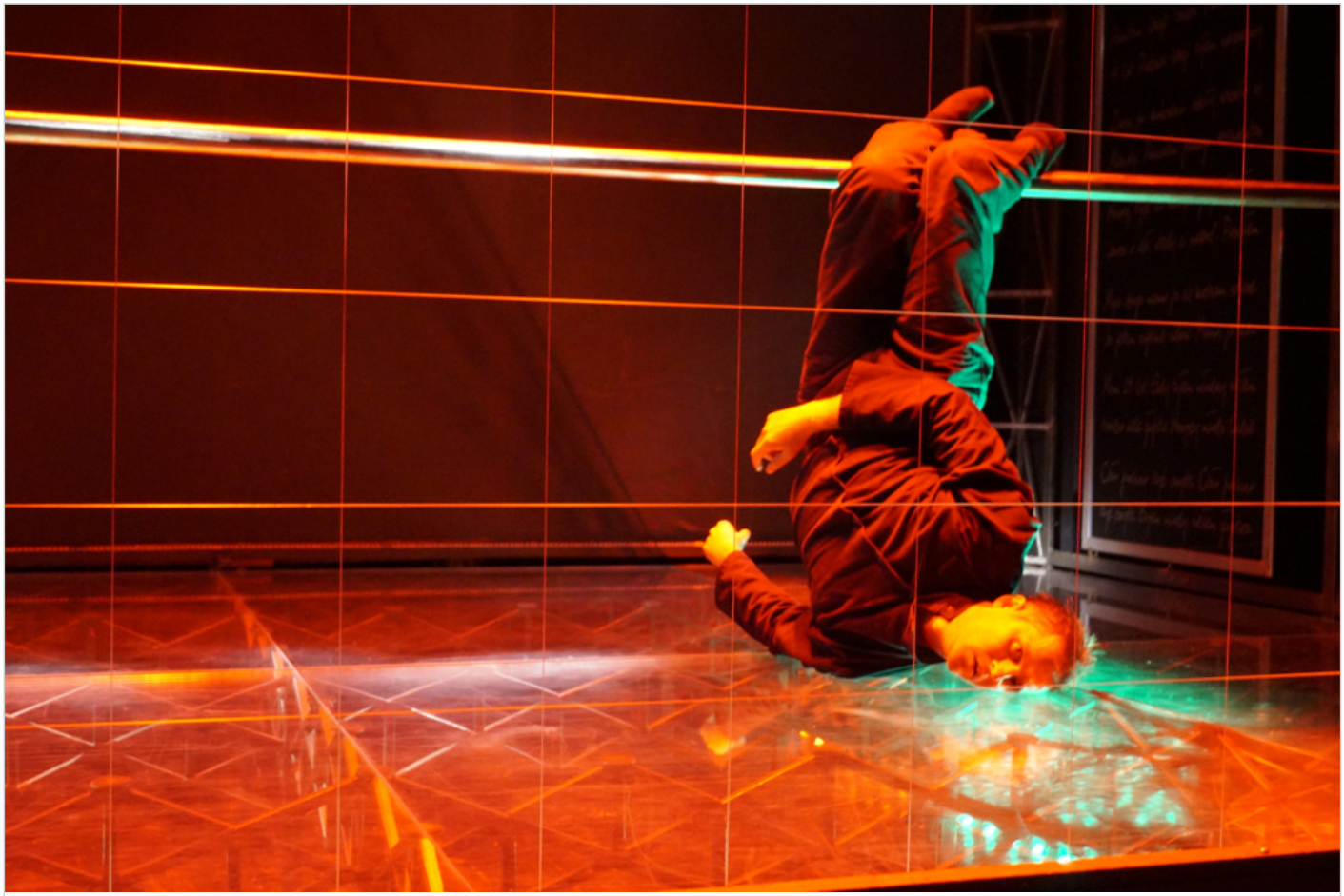


Kamil Maćkowiak w spektaklu „Niżyński”, fot. Joanna Jaros.

W 1913 roku Niżyński wyjechał wraz z zespołem Diagilewa (bez Diagilewa) na tournée do Ameryki Południowej. Ożenił sie wtedy z młodziutką węgierską tancerkę Romolą de Pulszky. Romola bardzo zabiegała, żeby dostać się do zespołu Diagilewa, a jak poznała Niżyńskiego, za pomocą tłumacza, sama mu się oświadczyła. Wkrótce, w 1914 roku w Budapeszcie urodziła się im córka Kira, późniejsza tancerka. Ślub artysty spowodował

zerwanie związku z Diagilewem.

Wacław Niżyński próbował występować w Londynie z własnym zespołem, jednak nie odniósł sukcesu, gdyż nie miał doświadczenia administracyjnego. Przeniósł się więc wraz z żoną do Budapesztu i zamieszkał z pochodzącymi ze zubożałej arystokracji teściami. Podjął jeszcze raz współpracę z Diagilewem, ale w pracy zaczęła mu przeszkadzać rozwijająca się schizofrenia. Wycofał się z występów i opracowywania nowych układów choreograficznych. Ostatni jego występ publiczny miał miejsce 19 stycznia 1919 roku w małej szwajcarskiej wiosce Saint Moritz. Przez trzydzieści minut stał nieruchomo, twierdząc, że to są jego zaślubiny z Bogiem. Publiczność zrozumiała, że „Bóg tańca" jest chory. Przez sześć tygodni od ostatniego występu Wacław Niżyński pisał „Dziennik", który miał być rodzajem terapii. Potem poddał się leczeniu w Szwajcarii u doktora Eugena Bleulera. W latach 30. zastosowano nowatorską terapię insulinową, która odniosła tylko chwilowy skutek. Przez trzydzieści lat przebywał w ośrodkach zamkniętych, pod opieką żony, pozostając w swoim wewnętrzym świecie. Zmarł w 1950 roku w Londynie.



Kamil Maćkowiak w spektaklu „Niżyński”, fot. Joanna Jaros.

„Dziennik” Wacława Niżyńskiego to zapis strumienia myśli osoby chorej, nie potrafiącej się odnaleźć w społeczeństwie. Czasami wypowiedzi mają sens, czasami toczą się bez ładu i składu. Głównym tematem, powracającym jak bumerang, jest relacja z Bogiem. Niżyński przedstawia się jako wybrańca, który ma spełnić specjalną misję. Szokować czytelnika mogą intymne zwierzenia, opisy spotkań z prostytutkami i wulgaryzmy. Pośród spraw dnia codziennego, pojawiają się refleksje i uczucia. Kolejne fragmenty zaprzeczają sobie. Tematy, które wciąż powracają to Diagilew, żona Romola, córka Kira, zepsucie, lęk,

sytuacja polityczna, giełda.

„Dziennik” Wacława Niżyńskiego został po raz pierwszy opublikowany w 1936 roku, w wersji bardzo okrojonej przez żonę Romolę. Pełna, nieocenzurowana wersja ukazała się dopiero w 1997 roku w Anglii. Opublikowanie tej wersji „Dziennika” wywołało ponowne zainteresowanie postacią słynnego baletmistrza. W 2001 australijski reżyser Paul Cox nakręcił film „Nijinsky”. W Polsce pojawiły się spektakle teatralne oparte o wspomnienia artysty. Oprócz „Niżyńskiego” wystawionego przez Teatr im. St. Jaracza w Łodzi w 2005 roku, Teatr Wierszalin w Supraślu przygotował spektakl „Bóg Niżyński” (prapremiera w 2006 r.), a w Teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie w 2013 roku odbyła się premiera sztuki „Niżyński. Zapiski z otchłani”. Podczas premiery „Święta wiosny” Strawińskiego w Teatrze Wielkim w Warszawie, 11 czerwca 2011 roku, w przerwie przedstawienia, w foyer Teatru Wielkiego w Warszawie została odsłonięta pierwsza w Polsce rzeźba legendarnych polskich tancerzy-choreografów: Wacława Niżyńskiego i jego siostry Bronisławy w rolach Fauna i Nimfy z baletu „Popołudnie fauna”. W 2014 roku nakładem wydawnictwa Marginesy ukazała się biografia legendarnego tancerza i choreografa Wacława Niżyńskiego autorstwa znanej historyk i dziennikarki Lucy Moore „Niżyński. Bóg tańca” w przekładzie Hanny Pawlikowskiej-Gannon.



Kamil Maćkowiak w spektaklu „Niżyński”, fot. Joanna Jaros.



Kamil Maćkowiak w spektaklu „Niżyński”, fot. Joanna Jaros.

„Niżyński” – spektakl według scenariusza Waldemara Zawodzińskiego i Kamila Maćkowiaka, w reżyserii Zawodzińskiego przez osiem lat do 2013 roku grany był w Teatrze im. St. Jaracza w Łodzi. Po odejściu aktora z teatru Jaracza Fundacja Kamila Maćkowiaka odkupiła spektakl. „Niżyński” był potem wystawiany w wielu miejscach m.in. w Warszawie i poza Polską, w Niemczech po angielsku, w Moskwie, w Petersburgu. Wszędzie wzbudzał wielki entuzjazm. Po latach „podróży” monodram powrócił do Łodzi i teraz jest grany na scenie Teatru Nowego im. K. Dejmka.

Kamil Maćkowiak jest aktorem, reżyserem, scenarzystą, tancerzem i choreografem. Ukończył gdańską Szkołę Baletową i łódzką PWSFTviT. Połączenie umiejętności aktorskich i przygotowania z zakresu baletu klasycznego dało fenomenalny rezultat przy spektaklu „Niżyński". W wywiadzie udzielonym Izabelli Adamczewskiej dla „Gazety Wyborczej" (czerwiec 2016), Maćkowiak wspomina: *Poszedłem na film Paula Coxa, który był inscenizacją dziennika Niżyńskiego. Zetknąłem się z tym nieprawdopodobnym tekstem i zafascynowała mnie wrażliwość tego faceta, jego choroba, to, że ciało stało się dla niego więzieniem. (...). Fascynował mnie ten temat, chciałem go dotknąć. Tekst nawet najlepszego pisarza nigdy nie będzie miał takiej mocy, jak autentyk Niżyńskiego.*



Kamil Maćkowiak w spektaklu „Niżyński”, fot. Joanna Jaros.



Kamil Maćkowiak w spektaklu „Niżyński”, fot. Joanna Jaros.

Klatka z drążkiem, gra świateł, projekcje twarzy Kamila Maćkowiaka w szalonym pędzie, muzyka jak pełne niepokoju bijące serce chorego człowieka, do tego pasja, wizja, artyzm. Aktor ubrany w czarne spodnie i czarną koszulę, nie potrzebuje kostiumu epoki i zbędnych ozdobników. Wchodzi w relację z postacią, w którą się wciela na tak wysokich rejestrach emocji, że obydwaj, mistrz i aktor, stają się jednością. Niżyński-Maćkowiak snują swoją opowieść ciałem, ciało staje się klatką, ogranicza myśli, powoduje ból istnienia. Ciało, które doprowadzone do doskonałości, dało się plastycznie modelować,

emanowało siłą twórczą, zarażało pierwotną energią, zniewolone chorobą, zaczyna stawać się więzieniem. Mistrz Niżyński szamocze się, prowadzi walkę z własną cielesnością, próbuje wyzwolić się z pętów. W głowie huczy nieokrzesany, niehamowany strumień myśli, narasta niepokój, jak dudniąca kolej po szynach. Artysta robi rachunek sumienia, wspomina ważne postacie ze swojego życia, matkę, siostrę, zmarłego brata, księcia Lwowa i Diagilewa, który powraca jak bumerang. Zazdrość o nowego kochanka „Sierioży", śmierć Diagilewa w Wenecji, dudni w głowie, wiruje wraz ze skrajnymi emocjami, żalu, rozczarowania, tęsknoty. Żona raz jest nadzieją na stabilizację i spokój duszy, a raz wzbudza lęk, staje się uosobieniem kolejnych więzów życia. Projekcje myśli na temat żony mieszają się z przygodami z prostytutkami. Nowe doznania przenikają się z odrazą do siebie, chęcią ucieczki od swoich myśli. Najbardziej liryczne partie dotyczą córki Kiry, obserwacji jej zachowań, lęku, że jej nigdy nie zobaczy. Nad tym chaosem emocji, namiętności, lęku, geniuszu i cierpienia góruje Bóg. I tak jak Maćkowiak stał się Niżyńskim, tak Niżyński staje się Bogiem. Rozpiera go pycha, ciąży misja, którą ma do spełnienia, unosi się w powietrzu, lewituje ponad światem i swoim życiem, po czym spada w dół, a każdy kolejny upadek jest bardziej bolesny, bo prowadzi do nicości. Niżyński w ostateczności decyduje się na leczenie, zaczyna rozumieć, że jest chory, opadają emocje, następuje rezygnacja, wyciszenie.

Misterium istnienia w obłędzie, na pograniczu geniuszu i choroby psychicznej, w wykonaniu Kamila Maćkowiaka, to mistrzostwo aktorstwa i utożsamienia się z rolą. Spektakl prowokuje do myślenia, rozważenia wielu ważnych momentów w swoim życiu, uruchamia pokłady podświadomości. Nic dziwnego, że monodram zdobył wiele nagród i mimo, że grany był już ponad 200 razy, nie wypalił się, publiczność wciąż tłumnie przybywa na spektakle.



Kamil Maćkowiak w spektaklu „Niżyński”, fot. Joanna Jaros.

„Niżyński”, spektakl na podstawie „Dziennika” Wacława

Niżyńskiego w przekładzie Grzegorza Wiśniewskiego; w roli Wacława Niżyńskiego: Kamil Maćkowiak; reżyseria i scenografia: Waldemar Zawodziński; scenariusz: Waldemar Zawodziński i Kamil Maćkowiak; choreografia i opracowanie muzyczne: Kamil Maćkowiak; reżyseria światła: Łukasz Schwiperich; projekcje multimedialne: Arkadiusz Stasiak i Wojciech Burczak; kostiumy: Marta Joanna Bryś; kierownik produkcji: Jarosław Bydny; grafika (2014-2016): Dona Sołtysiak; zdjęcia: Fundacja Kamila Maćkowiaka; prapremiera: Teatr im. St. Jaracza w Łodzi 2005 r.; Teatr Nowy im. K. Dejmka w Łodzi, listopad 2016 r.

Nagrody: w Łodzi (Złota Maska), Kaliszu, Jeleniej Górze, Wrocławiu. W 2007 roku Kamil Maćkowiak dostał za rolę Niżyńskiego główną nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Monodramów MONOKL w Sankt Petersburgu. W 2008 roku – nagrodę mediów niemieckich na Festiwalu Monodramów w Kilonii – THESPIS Media Award.

Informacje biograficzne na temat Wacława Niżyńskiego na podstawie Wikipedii oraz biografii Lucy Moore „Niżyński. Bóg tańca”.

Nieobecni są najbliżej



Ks. Jan Twardowski, fot. znak.com.pl.

Barbara Gruszka-Zych

Do dziś przechowuję jeden z najcenniejszych dla mnie listów. Napisał go ks. Jan Twardowski po przeczytaniu moich tekstów poetyckich.

Te wiersze są proste, pisane bez zbędnych udziwnień. Myślę, że łatwo mogą trafić do czytelnika. Byłam szczęśliwa, że taką opinię wydał mi ten, który pisał najprościej jak tylko można. I dzięki temu trafiał do milionów czytelników. Bez wątpliwości można powiedzieć, że przez ostatnie 20 lat był najczęściej wydawanym, czytanym i cytowanym polskim poetą. Ale kiedy odwiedzałam go z przyjaciółmi w kościele Sióstr Wizytek przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie, nie wiem, czy z kokieterią, czy prawdziwym niedowierzaniem – pytał tym swoim cichym głosem przechylając głowę:

> I tak naprawdę mnie czytacie? Inni też? Naprawdę wam się to podoba? A przecież te moje wiersze takie tam…

Przez lata nie był drukowany. Na jego tomikach nie pojawiała się też informacja, że jest księdzem. Nie tylko ze względu na ograniczenia minionego ustroju. Taka była też wola, żeby – jak nam mówił – nie narzucać czytelnikowi odbioru. Przecież czytali go również niewierzący. Bo w swoich wierszach nie pouczał, nie prawił morałów, nie straszył piekłem, a nawet się usprawiedliwiał: *nie przyszedłem pana nawracać*. – Wiara moja, jak i innych ludzi, podobnie jak niewiara, wydaje mi się tajemnicą – powiedział w jednym z wywiadów.

Urodził się w Dniu Dziecka, 1 czerwca w 1915 r. w Warszawie.

Może dlatego tyle potem pisał o dzieciach. *Być na piątkę obiecuje, a z piątego piętra pluje* – uczyli się na pamięć moi jeszcze mali synowie fragmentów z jego „Patyków i patyczków” (dziś mają po kilka tych książek z cennymi dedykacjami Autora, pisanymi drobnym pismem: „Kochanemu Tymkowi”, „Drogiemu Błażejkowi”).

Dla twórcy „Znaków ufności” ważne były lata gimnazjum, szczególnie zajęcia z nauczycielem biologii – Władysławem Kociejowskim, który kazał mu prowadzić zielnik i uczył nazw roślin. Potem w swojej poezji ze znawstwem przywoływał „po imieniu” jesion, czeremchę, wiąz. Pasjonowała go też literatura. Jeszcze przed wojną, pod wpływem Józefa Czechowicza, wydał pierwszy tomik „Powrót Andersena”. Rozpoczął studia na polonistyce, był uczniem słynnego prof. Wacława Borowego. Podczas okupacji wstąpił do AK, brał udział w Powstaniu Warszawskim. W Radomiu, po spotkaniu z rodzicami postanowił, że pójdzie do Seminarium. Polonistykę skończył w 1947 r., święcenia przyjął w rok później. Był też związany z Katowicami. Tu przez długie lata mieszkała przecież jego siostra. Tutaj w „Odrze” drukował swoje wiersze pod pseudonimem Antoni Derkacz:

> O najdroższa! Pod tej fary wieżą,

> przy jabłoni siedem kroków w bok,
>
> w szkłach rogowych księża nie dostrzegą
>
> jak ust blisko włosów twoich lok
>
> („O tej łzie co na końcu spadła”).

Jego pierwszą parafią był Żbików, gdzie pracował w szkole specjalnej. W 1950 r. z Pliszowa pisał do poety Jana Ożoga:

> Myślę, że nigdy nie należy czynić z poezji najważniejszego problemu swojego życia – trzeba umieć postawić ją w odpowiedniej proporcji do innych spraw.

I to przesłanie starał się realizować zarówno w latach 60., kiedy nie wydano żadnego tomu jego wierszy, jak i w latach 90., kiedy ten sam jego wiersz publikowano jednocześnie w czterech różnych wyborach poezji, i gdy tłumaczono go na różne języki.

Zawsze zwracał uwagę przede wszystkim na innych. Kiedy razem z przyjaciółmi z warszawskiej polonistyki na początku lat 80. chodziliśmy go odwiedzać w zakrystii kościoła ss. Wizytek, gdzie

był rektorem, zawsze znajdował dla nas czas. Przychodził nieodmiennie w sutannie, wysoki, w rogowych okularach jak z wiersza, ze skromną, ortalionową siatką w dłoni. Przynosił w niej swoje poezje, a raz zapiski o przyjaciółce, przedwcześnie zmarłej Annie Kamieńskiej (powtarzał, że była świetną poetką religijną, zachęcał do jej czytania, mówił, że musi poświęcić jej wspomnienie). To właśnie w odpowiedzi na jej wiersz napisał: *Śpieszmy się kochać ludzi tak szybko odchodzą*. Uczyliśmy się tego utworu na pamięć i omawialiśmy na lekcjach w ramach praktyk studenckich jeszcze zanim włączono go do podręczników szkolnych. (Na początku lat 90. te słowa znalazły się – jako swoiste memento – w wielu nekrologach). Zapraszał, żebyśmy usiedli, pytał skąd jesteśmy, jak długo jechaliśmy, czy jesteśmy zmęczeni i głodni. Interesował się każdym z osobna, zapamiętywał nasze imiona.

Kiedy po latach odwiedziłam Poetę ze starszym synem, Tymek był zdziwiony, że dobiegający 90. Ksiądz pamięta dobrze mnie, moje koleżanki i kolegów: Zuzię, Jolę, Andrzeja. (Sam uczył się cytatów z jego wierszy: *Bo pozwalają patrzeć na świat z optymizmem* – mówił.) Rozmawialiśmy wtedy o nienawiści, przebaczeniu i miłości. Ksiądz powiedział, że codziennie rano podczas modlitwy powinniśmy oczyszczać się z uprzedzeń do ludzi. *Moja nienawiść żywi drugiego, ułatwia mu nienawiść* – ostrzegał.

> Ocalić nas może miłość. Ale nie tylko samo uczucie zakochania, ale troska o drugiego, opieka, wyjście poza siebie do kogoś. Ona jest najważniejsza, bez niej nie ma całego życia.

Zwykle do „jego” konfesjonału ustawiały się kolejki. Niektórzy żartowali, że Ksiądz jeszcze zanim wysłucha, już daje rozgrzeszenie. Tak wierzy w Boże Miłosierdzie i tak docenia wszystkich, którzy przyszli wyznać swoje winy. W wierszu „o kościele” pisał, że to miejsce, gdzie musiał *stale chować się do konfesjonału, któremu stale odrastają uszy*, i gdzie modlił się, *żeby nigdy nie być ważnym*. A przecież musiał wiedzieć, otoczony miłością czytelników, że ta ostatnia modlitwa nigdy nie została wysłuchana.

Dziś wybór Jego wierszy nie przez przypadek otwiera się na słowach: *przecież tylko nieobecni są najbliżej* („o nieobecnych”).